

Kolut Anna

Obok

# 1.



Holandia.

Oczywiście pierwsze, co przychodzi do głowy, to Muzeum Van Gogha, pola kwitnących tulipanów, stare wiatraki, rowery z koszykami. Szczęśliwi narkomani, szczęśliwi homoseksualiści, squaty, sztywni Holendrzy.

Po miesięcznym pobycie muszę wyznać, że niewiele więcej mogę wymyślić, choć sporo z tych obrazów uległo niejakej modyfikacji.

Van Gogh wymawia się „fan hohh”, z tym holenderskim specyficznym charchaniem budzącym moją niepowstrzymaną, niegrzeczną wesołość. Wiecie, o co mi chodzi? Jeśli nie, charchnijcie sobie solidnie, pełną piersią. No, śmiało! W razie niezadowolenia otoczenia wrzucicie ramionami – ćwiczycie wymowę holenderskiego.

Jeśli zdecydowaliście się na zaproponowane przeze mnie wygłupy, wydany przez was dźwięk to holenderskie „g”. Jest to, na moje nieszczęście, bardzo popularna głoska.

Druga to „U”, ale nie takie sobie zwykłe „u”, o nie. Holenderskie „U” wymawia się z większym lub mniejszym wybałuszeniem oczu, wyciągnięciem szyi do góry, wysunięciem dolnej szczęki. Dźwięk pomiędzy „y” a „u”; trudno wypowiedzieć. Myślę, że jednak łatwiej jest sobie wyczyścić gardło przy „g”.

Te oto dwie głoski mordują mnie codziennie po trochu. Patrząc na Holendrów z wysuniętymi szczękami, oczami w słupki; charchających z absolutną powagą co kilka sekund, konam. Mogą mnie obrażać, mogą opowiadać o najgłębszych zakamarkach swoich dusz, ja i tak ostatecznie poślę im promienny, uspakajający uśmiech, a kiedy oni zadowoleni odwracają rowery i jadą w drugą stronę, wybucham wariackim śmiechem, od którego pękają mi naczynia krwionośne.

Nie musicie mnie ganić, sama wiem, jakie to niegrzeczne.



Rowery to też nie jest taka oczywista sprawa. Są tak ciężkie, że mnie przewracają. Wieje wiatr, chlasta po twarzy, a ja usiłuję wsiąść na rower z dziecięcym fotelikiem na froncie. Kasia – moja przyjaciółka – pewnie usadzona na siodełku swojego roweru obserwuje mnie z powątpiewaniem. Również szczerze w siebie wątpię, kiedy rower przeważa mnie na prawo, z hukiem pada na ziemię, a ja odskakuję przerażona z poobijanymi pieszczelami. Nie ma sensu rozwijać wyobraźni dla tej sceny. Stoimy przed domem, a ja po prostu usiłuję wsiąść na ten cholerny pojazd. Wstyd na całe sąsiedztwo, jestem atrakcją dnia. Kasia szuka odpowiednich słów, lecz cóż można powiedzieć, większy sens ma załamanie rąk.

Z czasem dogadałam się z holenderskimi rowerami; urządzam sobie na nich nawet samotne wycieczki. Wciąż jednak potrafią mnie przeważać. Wtedy walczę z grawitacją, moje stękania i niezborne ruchy przyciągają spojrzenia przygodnych osób bardziej skutecznie, niż gdybym jechała topless. Niespecjalnie mnie to jednak wzrusza, niech się gapią, przynajmniej będą mieli o czym opowiadać.



I tu właśnie mogłabym dokonać dogłębnej analizy psychiki Holendrów. Pierwsze słowo, jakie zazwyczaj przychodzi innym nacjiom do głowy, to „dziwni”, drugie: „sztywni”. Potem sięć

słów rozwija się w kierunku „tolerancyjnych”, „bezbarnych” i tak dalej.

Mam doskonale pole do obserwacji, albowiem od pierwszego dnia mojego pobytu w tym kraju położył na mnie łapę prawdziwy Holender. Przyjechałam do Kasi w piątek wieczorem, a już na sobotę rano byłam umówiona z Timem na spacer po plaży. Spóźniony o półtorej godziny nadjechał srebrnym, nijakim renault.

– To moich rodziców – pochwalił się ten trzydziestojednoletni mężczyzna, z galanterią otwierając samemu sobie drzwi i znikając w luksusowym wnętrzu pożyczonego auta. Zanim zdecydowałam się usiąść obok niego, udałam, że wiążę sznurówkę, pozwalając sobie, by po mojej twarzy swobodnie przepływały myśli i emocje. Być może trzęsący się brzuch zdradzał stan mojego umysłu; jednak miałam na sobie gruby, wełniany płaszcz, a Tim nie był specjalnie spostrzegawczy.

Ach, zakochanie! Każdy z nas pamięta tę idiotyczną mgiełkę w mózgu, kiedy pewne rzeczy giną na horyzoncie zupełnie zamazane, a inne wychodzą na pierwszy plan, takie wspaniałe, cudowne, niekoniecznie zgodne z prawdą. Wiecie, o czym mówię. Prawda?

Ja niestety nie wiem. Cierpię na poważne schorzenie Trzeźwego Łba. Ewidentnie nie potrafię z rozkoszą tarzać się w mgiełce zakochania. Mogę ją opisać, wyobrazić sobie; mogę za nią tęsknić jak kot za rybką, ale to maksimum moich możliwości.

Nic na to nie poradzę, iż zabieram do kieszeni paczkę chusteczek do nosa na randkę na plaży. Wiatr wyciska ze mnie to i owo, normalna ludzka rzecz. Tim, najwyraźniej, przeliczył się co do swoich możliwości. Spoglądając na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, odszedł na bok, po czym wydmuchał w dwa palce, co miał do wydmuchania, mówiąc:

– Wybacz, to, co robię, nie jest romantyczne.

Byłam mu ogromnie wdzięczna za to ostrzeżenie.

Kiedy wrócił ze swojego skalanego ustronia i chciał złapać mnie za rękę, posłałam mu trzeźwe spojrzenie.

– Nie mam chusteczek. – Najwyraźniej poczuł się w obowiązku wyznać, chowając dłoń za plecy, a ja bez słowa wyjęłam z kieszeni rozwiązanie jego problemu.

Oczywiście nadal się z nim spotykam. Fascynuje mnie ten człowiek, jak pragnę zdrowia. Jest nieskończonym źródłem takich oto historii; a one niepomierne mnie bawią.

Tim i jego smarkanie w dwa palce na pierwszej randce nie wydają się wdzięcznym tematem do rozpoczęcia opowiadania o mojej podróży. Tak się jednak stało, nic na to nie poradzę. Nikt wam nie broni, byście rozpoczęli czytanie tej książki od końca; może znajdziecie tam przyjemniejszy temat. Niczego nie obiecuję. Wolność słowa pozwala mi na wszystko, nawet na pożegnanie się z wami opisem błazna w czapce z dzwoneczkami.

Ciekawa sprawa z tym moim wyjazdem do Holandii. Miałam wiele powodów, aby wyemigrować. Ostatnio szlajam się przez życie jakoś trochę po omacku. Stwierdziłam więc, że mogę robić to samo w innym miejscu niż ojczyzna. Podjęłam decyzję i postanowiłam poinformować rodzinę. Zanim zdążyłam dokończyć zdanie, zostałam w wyobraźni bliskich połączona związkiem małżeńskim z bogatym obcokrajowcem, zobaczona w dochodowej pracy, a w ciepłe weekendowe dni ubrana w ogrodniczki i umieszczona w małym, porządnym ogródeczku. Jak lalka Barbie, z miniłopatką, minirekawiczkami i z szerokim, nieszczerym uśmiechem.

– Oczywiście żadnej presji – powiedziałam z uśmiechem do mojej mamy.

Kilka lat temu wypchała jedną z szaf w rodzinnym domu różowymi dziecięcymi ubrankami dla córeczki, którą miałam urodzić. Nic takiego się nie wydarzyło; dziś szafa pęka w szwach, a ja, patrząc na nią, wciąż pękam od ciężkich westchnień.

Miałam dwa tygodnie do wyjazdu, a wizja bogatego męża, wspaniałej pracy i domu

z ogródkiem okazywała się coraz bardziej rozpowszechniona w mojej rodzinie. Zdumiewało mnie to. Życzliwie stukalam się w głowę. Musicie wiedzieć, że od roku nie jestem specjalnie stabilna. Podejrzenie dużo rzeczy mnie śmieszy, nie mam stałej pracy, dni spędzam na rysowaniu, obserwacji ludzi, spacerowaniu po pustym mieście, rozmowach o Prawdzie, Pięknie, Sztuce. Czasem są to rozbudowane monologi, którymi bombarduję ściany lub drzewa w parku, kiedy brakuje mi towarzystwa. Ludzie lubią ze mną przebywać, ale hasają wokół wciąż tych samych tematów, a ja lubię różnorodność.

– Pewnie już nie wrócisz – powiedziała łzawo jedna z moich przyjaciółek. Widziałam w jej oczach kolejną wspaniałą wizję mojej niedalekiej przyszłości. Nigdy nie czuję się tak idiotycznie, jak w takich chwilach. Wokół mnie powstają plany i opowieści, a jedyne, co sama potrafię z siebie wykrzesać w odpowiedzi, to: „Moje plany? A nie wiem, zobaczymy”. Nie macie pojęcia, ile razy wypowiedziałam tę kwestię. Mogłam to mówić jak automat, wciąż z tym samym leciutkim uśmiechem na wargach. Pożegnalny objazd po rodzinie i znajomych zajął mi dwa tygodnie.

– Wszyscy trzymamy za ciebie kciuki. – Dobiło mnie to do reszty. – Na pewno gdzieś cię zatrudnią. Najpierw na część etatu, a potem już pójdzie.

Pokiwałam głową, zalewając kolejne osoby oceanem pustej wdzięczności. Tak naprawdę myślałam intensywnie o puzzlach wysmarowanych brokatem, które z pełnym zaangażowaniem układałam z którymś z kolejnych dzieci.



Jakoś nikt nie mógł pojąć, że ja już nie umiem pracować w ten sposób, jak w zegareczku – od ósmej do szesnastej.

\*

Wróciłam do nienaturalnie wysprzątanego mieszkania, namalowałam tło do obrazu i napisałam wiersz o zombie.

Trzy dni później siedziałam w samolocie do Eindhoven, prezentując współpasażerom rozradowaną twarz. Część osób kurczowo trzymała się za ręce, stewardessy uspakajały spanikowanych; niektórzy spali z otwartymi ustami, niewzruszeni jak konające ryby.

Ja miałam setną uciechę, uwielbiam turbulencje.

Jestem z tych, co gromadzą dla tych, którzy lubią wyrzucać. Najchętniej przechowywałabym każdy zapach, który lubię – mlecznej czekolady, deszczu, lasu, piasku. Jak Wielkomilud Roalda Dahla, który chwycił sny i trzymał je w słojach, a potem wdmuchiwał do pokoju śpiących dzieci. Na pewno znacie tę książkę. Ja mogłabym robić to samo co on, tylko z zapachami. I wdmuchiwać je sobie samej, odświeżając wspomnienia.



Jestem po prostu nieuleczalnie sentymentalna. Ponieważ utrudnia to życie, zgrywam się ze wszystkich i wszystkiego, a najbardziej z siebie. Kiedy czuję, że coś mnie wzrusza albo ściska moje serce tak bardzo, że chcę wypaść przez okno, udaję, że jestem z kamienia, moja twarz nie wyraża absolutnie niczego, a mój umysł wpada w dziwny autystyczny stan.

Musze, istotny element mojego życia, walają się w każdym miejscu, w którym przyszło mi kiedykolwiek mieszkać. Większość z nich pozbierałam w dzieciństwie na wycieczce we Włoszech, biegając po plaży w majtkach i koszulce, odnajdując w takim bieganiu i zbieraniu szczyty szczęścia. Ten wyjazd nudził mnie śmiertelnie, dopiero kraby łączące koło moich nóg i dotyk słonej wody wytrąciły mnie z mojej dziecięcej, uprzejmej apatii. Dziadkowie z dzikim zaangażowaniem pokazywali mi zabytki, ale ja pozostawałam dziewięcioletnio-niewzruszenie nieoczarowana. Zbierałam gigantyczne szyszki z wysokich, powykręcanych śmiesznie sosen, brodziłam po brzegu morza, przyglądałam się tłumom ludzi miętoszających w spoconych dłoniach aparaty fotograficzne. Rodzina patrzyła w konkretny punkt, paplając o historii danego ociosanego kamienia, udawałam zainteresowaną, ale po cichu przyglądałam się pozwijanym korzeniom dziwnych drzew, które wylaziły idiotycznie między płytami chodnika.

Któregoś dnia, po całodniowym tupaniu po bruku, babcia kupiła nam lody w małej, dusznej, źle oświetlonej lodziarni. Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie było tak samo duszno i dodatkowo męcząco słonecznie. Ogłupiała od upału usiadłam obok brata, liżąc lody śmietankowe, które podobno były doskonałe. Siedzieliśmy koło fontanny ozdobionej całym mnóstwem kamiennych, bardzo zabytkowych, zwierzęcych mord. Machałam nogami jak zwariowana, usiłując zapanować nad topnieniem śmietankowych włoskich rarytasów. Podszedł do mnie chudy, smutny piesek o wygłodniałych oczach. Pokochałam tego pieska od pierwszego wejrzenia. Rzuciłam mu kawałek wafelka, ale nie wiadomo skąd przyfrunął opasły, beczelny, szybki jak błyskawica gołąb. Natychmiast porwał zdobycz i odfrunął. Na jego miejsce przyleciało pięćdziesiąt kolejnych grubych, beczelnych gołębi. Piesek czmychnął, babcia wydała okrzyk przerażenia, a ja oddałam komuś resztę swoich lodów, bo zupełnie straciłam apetyt.

– Wiesz, w jakich miasteczkach byłaś? – pytał mnie potem dziadek, a ja milczałam, no bo nie wiedziałam, w ogóle mnie to nie obchodziło. Gdybym opowiedziała o piesku i gołębiu, popukałby się w głowę. Mój brat klepał nazwy jak nakręcony, otrzymywał zachwyczone brawa, a mi było przykro, że znów zrobiłam z siebie idiotkę.

Dziś oglądam zabytki, korzenie drzew i psy jednocześnie, kwestia wprawy. Jest to jednak ogromnie wyczerpujące, nie róbcie tak, można nieziemsko ześwirować.



### 3.

Holandia inspiruje bezlitośnie, wydobywa ze mnie emocje, nowe obrazy, zarzuca głowę masą różnorodności. Tim jeździ ze mną po miastach i miasteczkach, poznając własny kraj na nowo. Rzuciłam się w wir pracy. Szkice i rysunki opętują mój umysł; poświęcam im masę czasu, całe wieczory i poranki. Znikam na całe dni, śpiąc po marnych kilka godzin. Promienieję. Wreszcie czuję, że robię coś sensownego.

– Masz pracę? – To pytanie padło już po kilku dniach mojego pobytu. Od tego momentu słyszę je niemal codziennie na nowo. Odpowiedzią kruszę pięknie wyrzeźbione wizje rodziny i przyjaciół.

Minął miesiąc, a ja uparcie robię swoje. Na odczepnego szukam stażu w jakiegokolwiek holenderskiej firmie. Odziana w pożyczoną od Kasi czarno-białą sukienkę poszłam na dwie rozmowy kwalifikacyjne przeprowadzane przez samych mężczyzn. Ponieważ w jakiś magiczny sposób spódniczka bez przerwy podjeżdża mi dużo powyżej kolan, robię bardzo dobre pierwsze wrażenie. Uśmiecham się szeroko, dowcipkuję, panowie lubią takie podejście.



Przecież im nie powiem, że w głębi serca mam to w nosie, czy mnie przyjmą do pracy, czy nie.

Dostaję zadania do zrobienia w domu. Wszyscy są pod wrażeniem moich umiejętności rysowniczych, które wszędzie wciskam zainspirowana nowymi tematami. Staż otrzymuje ktoś inny. Tim pociesza, Kasia podsyła kolejne propozycje stażu. Mogłabym załamać ręce, popaść w beznadzieję, nie mam jednak na to czasu, gdyż właśnie dostałam zlecenie na kilka rysunków.

Minął miesiąc, nadal tu jestem, nie mając większego planu na przyszłość. Mieszkam u swojej przyjaciółki Kasi, która w Holandii zapuściła korzenie. Mężatka z trójką dzieci, stałym zatrudnieniem, domem na kredyt. Chce mi pomóc, a sama czasem potrzebuje towarzystwa życzliwej duszy. Konkretna, zdecydowana, opiekuńcza, a jednocześnie delikatna i wrażliwa. Wszystkim chciałaby pomóc.

Strasznie ją kocham.

Wysłałam trzydzieści czy czterdzieści CV z portfolio, poszłam na kolejne dwie rozmowy o staż i nic z tego nie wynikło. Nie rwałam włosów z głowy. Dostałam kilka kolejnych zleceń z Polski; teraz mam zajęcie i argument, chroniący mnie przed troską, jękami i stękaniami rozczarowania innych.

Dzień rozpoczynam od szkiców. Zapominam o śniadaniu, rysuję, wpadam do kuchni, natykając się na Kasinego męża. Bawię go ogromnie, widzę to po jego minie.

– Też chciałbym się wysypiać do południa – rzuca z zazdrością, a ja macham na niego lekceważąco ręką, okraszając gest miłym uśmiechem.

Koło pierwszej dom pustoszeje, robię wtedy listę zakupów, jadę na rowerze do sklepu. Nie płacę za mieszkanie i prąd, ale staram się zadbać o obiad dla wszystkich domowników. Nie chcę być pasożytem.

Pichcę coś lepszego lub gorszego (w zależności od stopnia bujania w obłokach) i wracam do rysowania. O piątej Kasia wraca z pracy, idziemy po dzieciaki do szkoły, kotłujemy się z nimi po mieszkaniu do wieczora i dopiero po dziewiątej znów znikam w swoim pokoju. Bywam wyłączona z życia do trzeciej lub czwartej nad ranem. Cichutko schodzę do łazienki, biorę gorący prysznic i padam na łóżko. Zdarza się, że wypełnia mnie nadmiar obrazów i, choć na siłę zamykam oczy, moja głowa nadal coś rysuje.

O ósmej czy dziewiątej budzi mnie nowy dzień, chwytam piórko i działam, zapominając



o śniadaniu.

– Też chciałbym się wysypiać do południa – tradycyjnie wita mnie w kuchni mąż Kasi, a ja uśmiecham się wdzięcznie, mrużąc podkrążone oczy.

Czy wiecie, że holenderskie jedzenie nie ma smaku? Przytyłam już dwa kilogramy w poszukiwaniu zaginionych aromatów. Wciąż nie mogę ich odnaleźć. Za każdym razem mam wrażenie, że mój posiłek został już wcześniej przez kogoś zjedzony, a dla mnie zostało tylko wspomnienie. Polskie przyprawy ratują nieco sytuację, ale ile można sypać bazylii i majeranku?

Tim lubi moją kuchnię. Któregoś dnia zaprosiłam go na obiad. Przybył jeszcze przed umówioną godziną. Dla zabawy wrzuciłam mu na talerz trzy porcje mojego obiadu. Zasiadł przy stole zadowolony, gawędząc z mężem Kasi. Wsunął wszystko co do okruszyny, rozglądając się za deserem.

Często coś u nas zjada. Przyjeżdża po mnie, chwilę porozmawia ze wszystkimi domownikami, a ja grzecznie pytam, czy coś by zjadł lub wypił. Jest tak uprzejmy, że nigdy nie odmawia. Zazwyczaj, kiedy mamy w planach zwiedzanie, zabieram dla nas owoce lub domowe ciasteczka jako miłą przekąskę na drogę. Ostatnio Tim sięgnął szczytów uprzejmości, gdyż zaczął pakować nam prowiant, zanim ja sama się za to zabrałam.

Zdumiewający człowiek.

Bardzo lubię też jego podejście do dzieci. Najstarszy, żywiołowy syn Kasi bywa częstym obiektem ataków Timowego zainteresowania.

– Wszystko w porządku? – Holenderskie pytanie zadane grobowym tonem zawisa w powietrzu, a biedne dziecko traci mowę, wykręca paluszki i wbija wzrok w ziemię.

Rozładowuję takie sytuacje jedzeniem. Tim siedzi najedzony i zadowolony przy stole, a my przewalamy się po podłodze, udając pająki, ryby i autobusy. Wydawane przez nas okrzyki nie wybudzają Holendra z ciężkiego poobiedniego transu; tylko jego już legendarna grzeczność powstrzymuje go przed ułożeniem długiego ciała na kanapie i zapadnięciem w drzemkę.

Odwracam głowę w poszukiwaniu zgubionej dziecięcej skarpetki, łowca pajaków wchodzi mi na brzuch, pokonana rozpląszczam się na ziemi i po chwili zdejmuję drugie dziecko bezpardonowo usadowione pupą na mojej twarzy.

Spoglądamy na puste krzesło, gdzie przed chwilą siedział obżarty Tim. Pusty talerz i szklanka po kompocie zdobią stół. Zapada zaskoczona cisza; marszczymy brwi. Gdzie się człowiek podział? Cichy dźwięk pochrapywania kieruje nasze oczy na kanapę ze słodko śpiącym królewiczem.



#### 4.

Mówiłam wam, że jestem rąbnięta? Rok temu poszłam na ostry dyżur po tym, jak przez całą noc wędrowałam po mieście, usiłując zmęczyć swój własny niepokój.

Gdybym była wężem, zjadłabym własny ogon.

– Nie ma potrzeby umieszczać pani w szpitalu. To zwykle obniżenie nastroju, normalne w pani sytuacji.

Kiwnęłam głową, że niby rozumiem. Sama sobie byłam winna. Założyłam czapkę błazna, byle się nie rozpłakać. Nie płaczę przy obcych ludziach, w ogóle przy żadnych ludziach tego nie robię. Dlatego się zgrywam, owijam problem w taką masę bawełny, że ktoś niekumaty nie wyłapie tego, o czym mówię pomiędzy dowcipami.

– Dziękuję – powiedziałam krzepiącym, przepraszającym tonem do młodej, atrakcyjnej, wyraźnie zmęczonej pani psychiatry. Szkoda mi jej było, musiała się użerać z samymi świrami, a ja jeszcze odwałam przed nią swoje tańce błazna. Kto by miał siłę wplątywać się w moje umysłowe wygibasy. Wzięłam papierek, na którym napisała, że nic mi nie jest i zawracam jej głowę, a potem wyszłam.

Nie mam szczęścia do psychiatrów i psychologów. Kiedy umarł mój piesek i odreagowałam ten fakt anoreksją, trafiłam do pani, która podczas mojej wizyty zapadała się w fotelu, jakby chciała zostać w nim na zawsze. Mówiła okropnie niewyraźnie, szemrała jak wodospad. Wpatrywałam się w nią urzeczona. Wyrzuciła moich rodziców z pokoju. Byli niezadowoleni, szczególnie mama. Lubi wiedzieć, co się dzieje.

– Czy masz dobry kontakt z rodziną? – wyszemrała pani psychiatra ze swojego fotela.

– Nie – odpowiedziałam dziarskim, promiennym tonem, pragnąc wprowadzić nieco życia do naszej konwersacji.

– Dlaczego nie jesz? – zadała pytanie z głupia frant, powtarzając je trzykrotnie. Nie mogłam rozdzielić wyrazów przez ten jej konający sposób mówienia. Zastanawiało mnie, jak sobie radzi w codziennych sytuacjach typu zakupy. Prawdopodobnie nikt nie słyszy tego szemrania, ludzie nie biorą jej na poważnie i stąd to zapadanie się w fotel.

Strasznie mi jej było szkoda.



– Bo ja wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą tym samym, optymistycznym tonem. Miałam czternaście lat i buzię jedenastolatki. Wtedy jeszcze nie umiałam robić z siebie głupola, udzielałam więc krótkich odpowiedzi i czekałam, co będzie dalej.

– Czy odmawianie sobie jedzenia sprawia ci przyjemność? – wyfrunęło z ust, które z takim cierpieniem wymawiały każde słowo. Te usta zaczarowały mnie do reszty. Do końca wizyty patrzyłam już tylko na nie.

– Słucham? Przyjemność? – Powtórzono dwukrotnie pytanie wyrwało mnie z transu. – Na pewno nie. Myślę, że mnie to uspakaja – dorzuciłam po solidnym namyśle.

– Odreagowanie – powiedziała z satysfakcją to samo co ja innymi słowami. Najwyraźniej poczuła pewny grunt pod nogami. – Czy wydarzyło się coś stresującego ostatnio? Czy któreś z rodziców ma problem z alkoholem lub narkotykami; czy jesteś bita?

Nie, nie, nie i nie. Wszystko cudownie. Mieszkam w miejskiej willi, moja mama bardzo dba, żebym była zdrowa i miała co jeść, chodzę do bardzo dobrej szkoły. Rodzice piją lampkę wina rocznie, a siniaki mam po siatkówce w szkole. Kolega zaserwował mi prosto w twarz.

Te pytania sprawiły, że najeżyłam się wewnątrz i nasza rozmowa przestała mnie ciekawić. Gdy rodzice przyszli po mnie, zatroskana pani psychiatra wydostała się z trudem ze swojego fotela, podeszła do nich, szmerząc o potrzebie wielomiesięcznej terapii. Nie byli ze mnie zadowoleni, w ogóle okropnie im się nie podobała cała ta szopka z anoreksją. Kiedy wyszliśmy z gabinetu, milczeli, dopiero na ulicy mama zwróciła się do mnie:

– Jakaś dziwna ta babka, nawiedzona, jakby sama potrzebowała pomocy. Ale wszyscy psychiatrzy mają równo nasrane we łbach. Wcale nie potrzebujesz chodzić do niej. Prawda? Poradzisz sobie sama. Prawda?

– Oczywiście – odparłam z przekonaniem, marząc o odreagowaniu tego oczekiwania, że poradzę sobie sama, no bo tylko nienormalni ludzie chodzą do psychiatrów.

Pamiętam też panią psycholog sprzed dwóch lat, która świdrowała mnie zimnym wzrokiem. Pod takim wzrokiem wiję się jak piskorz, nie mogę go na sobie znieść. Rozpląsałam się przed tą panią, ale choćbym nie wiem jakie odstawiała słowne wygibasy, ona zawsze kierowała na mnie to swoje lodowate, beznamiętne spojrzenie. Widziałam w nim chłodną analizę, prędką ocenę i nic czucia. Chowałam się przed tym tak głęboko, jak to tylko możliwe. Miałam nieszczęśliwe małżeństwo, mobbing w pracy; chodziłam do tej pani raz w tygodniu przez trzy miesiące i nigdy jej o tym nie opowiedziałam. Zrobiła mi całą masę testów, zadawała

krótkie, zdawkowe pytania i przekazała innej pani psycholog. Prawdopodobnie nie mogła zrozumieć, co ja wyprawiam, o czym mówię i o co właściwie mi chodzi. Nie miałam do niej cienia żalu.

– Chce pani iść na terapię do mojej koleżanki? Jest pani bardzo nierówna – powiedziała któregoś dnia, a ja zgodziłam się na wszystko, byle już nie narażać się na ten jej lodowaty wzrok. Cieszyło mnie, że jestem nierówna, a ta pani prowadzi terapię wyłącznie dla równych osób.



Wiecie, jak to jest, kiedy kilka myśli snuje się tak długo i uparcie, że zaczynają tworzyć pętle i kołtuny? Jak długie włosy. Mam długie włosy, bardzo rozpoznawalne, mało kto nosi takie długie, właśnie dlatego, że są niepraktyczne – kołtunią się. Tak samo z myślami – im dłużej jakiś temat rośnie w głowie, tym ciężiej go usunąć. Dlatego nie lubię psychiatrów. Zawsze mówię im, że u mnie wszystko w porządku. Po prostu nie mam serca podawać im takich kołtunów do rozczesania. Moglibyście powiedzieć, że od tego są na tym świecie psychiatrzy. Zanim jednak tak powiecie, to pomyślcie choć przez chwilę.

Magda, śliczna, delikatna dziewczyna, psycholog od Nierównych Pacjentów. Gładkie, ciemne włosy; dołeczek w brodzie, brązowe, dobre oczy. Spojrzałam na nią i natychmiast zrobiło mi się jej żal, że na mnie trafiła. Przychodziłam do niej, żeby dostać papierek potwierdzający, że jestem świrięta. Wszystko niby dla picu – odeszłam z pracy, nie miałam żadnej nowej i potrzebowałam pieniędzy. Każdy szczerzył do mnie zęby, prawiąc komplementy, że to doskonale przemyślałam, ojejku, jejku, jakie to sprytne!

Czas na kolejną dygresję – lubię dygresje, jak pewnie już zauważyliście. Jestem mistrzem dygresji, bez nich opowiadanie jest nudne i przewidywalne. Mogłabym bez końca dorzucać anegdotki o zapachu czekolady kojącym moje serce podczas jazdy tramwajem, albo o romansie nawiązanym na kursie rysunku.

Moja praca. Spełnienie marzeń, ciepły stołeczek, umowa na czas nieokreślony, pozycja szefa działu. Ohohoho, miałam dwadzieścia sześć lat i byłam ważna jak sam papież. Świat mi zazdrościł – mężatka, mieszkanie, samochód, TAKA praca! A ja czułam się podle, bo zrobiłam coś strasznego, dałam się wkręcić w klimat korpo-zombie. Normalne zombie zjadają mózgi, aby przeżyć, korpo-zombie wyrrywają mózgi, żeby się na nich utrzymywać na powierzchni jak na kole ratunkowym. Wiem, poraziłam was tą głęboką metaforą. Należy się przy niej zatrzymać, obejrzeć z każdej strony, taka jest niesamowicie zawiła.

Ja niestety również wyrwałam mózg, zrobiłam to, choć wtedy myślałam, że dobrze czynię. Nigdy nie róbcie czegoś takiego, najlepiej w ogóle nie pracujcie w korporacji. W innym

przypadku zawsze nadchodzi ten moment i pytanie: „Walczyć o siebie czy się poddać?”. Ja stwierdziłam, że o siebie zawalczę. Koleżanka doprowadzała mnie do szału, siedziała mi na karku. Byłam dobra i wiedziałam o tym. Doskonale zorganizowana, pracowałam metodycznie, spokojnie i z wizją przyszłości.

Wiem, teraz ciężko w to uwierzyć.

– Boże, ile ja się przy tobie uczę! – wzdychała koleżanka, a ja miałam ochotę ją kopnąć, kiedy dopisywała swoje nazwisko przy kolejnym zaproponowanym przeze mnie projekcie.

Dziewczyna – sól tej ziemi. Ogromnie emocjonalna. Gdyby mogła, chodziłaby po świecie wywrócona na drugą stronę. Przyklasnęłabym temu z całego serca – oszczędność czasu – wszystko widoczne, a nikt nic nie gada. Znałam wszystkie jej myśli, wątpliwości i problemy; jej głos brzęczał mi nad głową jak upierdliwy komar nocą, wytrącając mnie z równowagi.

– O Boże, ale mi się nie chce... Tobie też? O Boże, ile tego do zrobienia! – wzdychała nad kubkiem z poranną kawą. I nagle zaczynała płakać, rozlewała kawę, wycierała nos.

– Pokłóciłam się z teściową. O, popatrz, nowy czajnik! Jak myślisz, kto go tu przyniósł? O Boże, strasznie mnie denerwuje ten facet z magazynu, patrzy na mnie tak dziwnie, wiesz?

Któregoś dnia, wymęczona psychicznie do ostatnich granic, postawiłam szefowej ultimatum – albo ja, albo to bogobojne dziewczę. Nieładnie? Oczywiście, że nieładnie czy piszę, jakbym była z siebie zadowolona? Gryzło mnie to potem jak cholera, przy pierwszej okazji zrobiłam odwrót, poprosiłam o wymazanie z pamięci. Nie myślcie, że coś takiego może się wydarzyć. Samej sobie nie potrafiłam tego zapomnieć. Tamten moment był jak cebulka włosa, który rozrósł się potem pięknie i zapętlił jeszcze bardziej widowiskowo. Odeszłam z pracy z ostrą nerwicą, zerową wiarą w siebie, nie wiedząc, kim jestem i dlaczego nie potrafię sobie wybaczyć jednego błędu. Oczywiście był też prezes, który mnie zastraszał i traktował nieelegancko. Zawsze kiedy z nim rozmawiałam, miałam twarz bez wyrazu. To doskonała sprawa, takie zamrożenie facjaty, mówię wam. Ktoś do was strzela z bazooki, a wy nic, spokój, zero emocji.

– Nieprofesjonalne podejście, jak można nie odbierać telefonu, jak można wziąć sobie wolne w środku projektu! Nie dość, że jesteś niekreatywna, to jeszcze do tego nieodpowiedzialna, nie nadajesz się na zajmowane stanowisko! – paplał wysoki, siwiejący facet, a ja miałam zatwardzenie na twarzy. Wiedziałam, że go wkurzam; wolałby łyzy, przeprosiny, obietnice poprawy. A ja myślałam o moim mężu, który był w szpitalu. Aby z nim spędzić ten trudny czas, odebrałam liczne nadgodziny po wcześniejszej konsultacji z szefową. Na tyradę prezesa nie mogłam znaleźć słów, patrzyłam zatem przez okno swoim kamiennym wzrokiem bez wyrazu, rozpadając się w środku jak stary budynek wymęczony jesiennym huraganem.

Sentymentalne porównanie? Wróćmy zatem do psychiatrów i psychologów. Pamiętacie Magdę, psycholog od tych Nierównych? To dziewczyna o pięknie wyrzeźbionej brodzie, w ogóle ma buzię jak aniołek, wrażliwą i dobrą. Lubię ją ogromnie. Przez pierwsze trzy miesiące ukrywałam przed nią swoje kołtuny, podrzucając tematy jasne i oczywiste. Wyczuwałam w niej osobę dobrą i delikatną, ale nie podejrzewałam, że jest również inteligentna. Szybko przestała śmiać się z mojego błazeńskiego płasania, doskonale słyszała, co tak naprawdę mówię.

– Dlaczego opowiadasz o tym w ten sposób? – spytała któregoś dnia, a mnie zatkało. – To nie jest śmieszne, tylko bardzo bolesne.

Próbowałam poświrować jeszcze przed nią, ale dziewczyna najwyraźniej uodporniła się na dźwięk moich kretyńskich dzwoneczków. Od tego dnia patrzyła na moją błazenadę z absolutnym niezrozumieniem. Denerwowało mnie to.

– Nie wiem – wyznałam któregoś dnia, kiedy powtórzyła to swoje pytanie. Machałam nogami jak znerwicowany sześciolatek, wpatrując się w jakiś kiczowaty obrazek na ścianie. Nie pamiętam, co na nim było, jakieś jabłuszka czy marchewki, kwiatki i koszyczek – takie głębokie

tematy. Magda patrzyła na mnie życzliwie i ciepło. Specjalnie nie spoglądałam w jej stronę, bo rozbroiłaby mnie tym swoim ciepłem. Wbiłam się wzrokiem w ohydny obrazek z marchewkami.

Albo jabłuszkami.

Westchnęłam, do podrygujących nóg dołączając dłonie wybijające jakiś bezsensowny rytm. Chyba trzeba zacząć mówić jak człowiek.

– Kiedy opowiadam na wesoło, mam wrażenie, jakbym stała obok, taki obserwator. To, co mnie boli, może się wydawać zabawne w innym oświetleniu, wiesz, kwestia kolorów. Kiedy się robi zdjęcia, możesz tak operować światłem, że najweselszy człowiek będzie wyglądał jak zmęczony życiem narkoman. I odwrotnie.

Kiwnęła głową, milczała, patrząc życzliwie.

– Dystans jest dla mnie ważny. Kiedy coś boli tak bardzo, że nie mogę wytrzymać, śmieję się z tego, bo co innego mogę zrobić?

– Płakać. Rzucić talerzami – rzuciła, a ja skrzywiłam się z powątpiewaniem.

– Niczego dobrego to nie przynosi.

– Sądzisz, że smutek i złość są złe? – zapytała cicho, jakby bała się, że głośniejszy dźwięk mnie spłoszy i znów wskoczę w swój strój błazna. Milczałam, co miałam jej powiedzieć? Cisza zawisała w powietrzu oczekiwaniem. Było miękko, ciepło, przyjemnie, a ja trzęsłam się z zimna ze swoimi podrygującymi nerwowo kończynami.

Nagle zza drzwi doszedł nas nieszczerzy, rechotliwy śmiech, rozsunął się po tym naszym miękkim milczeniu. Spojrzałam w twarz wrażliwej, inteligentnej pani psycholog od ludzi Nierównych i posłałam jej radosny uśmiech.



## 5.

Kasia wyjechała z dziećmi do znajomej; jej mąż wywędrował w świat w tylko sobie znanym celu. Zostawili mi dom na kilka dni.

– Jak chcesz, to zaproś Tima – zachęciła mnie moja przyjaciółka, pakując do torby podróźnej niekończące się zapasy dziecięcych skarpetek i majtek. Nie pochwałała mojego romansu, ale chciała być w porządku. Postanowiłam zastanowić się nad jej propozycją.

Kiedy nadszedł wczesny wieczór, a ja wysłałam chwilowemu pracodawcy gotową ilustrację do książki, opanował mnie bardzo żartobliwy nastrój. Zawsze zapominam, że robię

wtedy głupoty.

„Jestem sama w domu. Sama i smutna, a noc wciska się w każdy zakamarek pokoju, w którym siedzę. Och, któż mnie uratuje, och, któż!?” – wysłałam wiadomość do faceta, który wysmarkał się w dwa palce na naszej pierwszej randce.

„Mam przyjechać?” – odpowiedział pytaniem, które wywróciło moje oczy w stronę sufitu.

Kiedy przybył, jego twarz promieniała nadzieją na wspaniałą przyszłość. Otworzyłam mu drzwi, oparłam się zmysłowo o framugę, wysunęłam nóżkę do przodu. Rzuciłam mu powłóczyście spojrzenie.

– Mam miesiączkę – wyznałam rozmarzonym tonem. – Możesz już wracać do domu.

Zobaczyłam, jakie spustoszenie sprawił mój bezduszny dowcip. Tim wciągnął powietrze, ja wybuchnęłam śmiechem, a on rzucił w przestrzeń:

– No weź!

Myślałam, że faktycznie zawróci (tak bym zrobiła na jego miejscu), ale wszedł za mną do domu.

Nigdy nie zrozumieć mężczyzn.

## 6.



Rok temu lato było obleśnie upalne. Oblepiało wilgocią nawet krótkie zdania, których nie miałam siły wypowiedzieć na głos. Znajdowałam się gdzieś tam, w jakimś pokoju, oblepiona jakimś facetem. Właśnie wykonałam wysiłek sklecenia kilku szczerych zdań.

– Jacek, weź sobie odpuść. Jestem ostro porąbana, cierpię na depresję i na niczym mi nie zależy.

Zapadło krótkie, leniwe milczenie, w którym pobrzękiwało zawsze to samo zaskoczenie. Gdzieś w głębi umysłu chichotałam durnowato. Dla niego to romantyczna, wspólna chwila, a ja rzucam w niego kowadłem. Tor jego myśli prowadził jednak w inną stronę niż moja.

– Pomogę ci – powiedział z ogniem. Pogłaskałam go po głowie. Leżeliśmy w jego łóżku, gorące lato wśliznęło mi do płuc dusznym oparem. Gdyby mógł, byłby chłodnym powietrzem

i wnikałby ulgą do mojego ciała. Nikt nigdy nie był dla mnie tak dobry jak on.

A mi było wszystko jedno. Patrzyłam na roślinę, która wiała się po ścianie jego pokoju, otulając przestrzeń solidną, mocną zielenią. Wszystko w tym miejscu było mocne i solidne, jednocześnie pozbawione cienia delikatności. Mocne, solidne biurko, mocny, solidny regał. Mocny, solidny Jacek. Rzucałam w niego kowadłami, szczyrzyłam zęby; a w głębi duszy trzęsłam się jak galareta. Łaziłam nocami po mieście, nie mogąc uciszyć gniotącego mnie niepokoju. Ten facet, choć apoetyczny czołg, nie zasługiwał na takie traktowanie.

– Mnie nie można pomóc – stwierdziłam bez dramatyzowania, normalnym, rzeczowym tonem, opierając czoło o jego ramię. Nie pachniał zbyt świeżo, ale nie przejmowałam się tym.

Chwilę wcześniej wypaliliśmy fajkę wodną z marihuaną. To był jego pomysł. Nie miałam nic przeciwko, zgadzałam się na wszystko po kolei. Gdyby zaproponował mi skok z okna, też bym się zgodziła. Uprawialiśmy mocny, solidny seks, dym z fajki płątał się z liśćmi zwisającymi z sufitu. Bawiło mnie to niepomierne, malowałam w powietrzu taniec dymu. Jeden listek pnąca odpadł od łodygi, pieszcząc w locie mój policzek, spadł na pościel.



Od początku byłam boleśnie szczera. Zaczepił mnie w autobusie wysoki szatyn o gorących, piwnych oczach. Faceci bardzo lubią kobiece długie włosy, pewnie to wiecie. Nawet gdy wyglądam jak pół dupy zza krzaka, kiedy wiatr zafurkocze moimi rozpuszczonymi włosami, przyciągam męskie spojrzenia. Ale nie z tego powodu ich nie ścinam. Takie furkotanie, z publicznością czy bez, sprawia mi estetyczną, romantyczną przyjemność. Jestem niestety romantyczna.

I okropnie sentymentalna.

– Strasznie mi się podobasz – usłyszałam niespodziewanie, kiedy autobus wiozł mnie, nie pamiętam nawet gdzie. – Czy podałaś mi swój numer telefonu?

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się być zaczepioną w ten sposób. Zamiast jednak wkręcić się w tę romantyczną scenę, chciałam powiedzieć: „Szacun za odwagę!” i ucisnąć mu dłoń. Podejrzywałam jednak, że taka reakcja nie byłaby mile widziana. W zamian podałam mu swoje imię i nazwisko. Nie był w moim typie, ale pomyślałam: „Co tam, czemu nie?”

Kilka dni później poszliśmy na kawę, pogadaliśmy o tym i owym. Nie ułatwiałam mu sytuacji, nie mówiłam zbyt wiele, uciekałam wzrokiem, prezentowałam kamienną twarz. Od czasu do czasu zbijałam go z pantałyku jakimś mocniejszym żarciem, romantyzmu było we mnie tyle, co w przybrudzonej pacce na muchy. W głębi serca nie wiedziałam, po co w ogóle przyszedłam na to spotkanie. Wciąż myślałam o mężu, z którym dopiero co się rozstałam.



– Jacek, biorę rozwód i jestem ostro porąbana – wypaliłam bez ogródek, kiedy pisał do mnie następnego dnia jak oszalały, proponując kolejne spotkanie. – Na twoim miejscu zrobiłabym w tej chwili odwrót z krzykiem i kwikiem – dorzuciłam, kiedy nic nie odpisywał, i przesyłałam bardzo adekwatny radosny wirtualny uśmiech.

– Nie przeszkadza mi to – napisał w odpowiedzi, a ja pomyślałam, że to bardzo dziwne.

– Na niczym mi nie zależy, jest mi wszystko jedno. Niczego nie buduję – mówiłam mu często, bo nie chciałam, żeby ode mnie czegokolwiek wymagał.

Myślałam, że mówiąc mu prawdę, jestem w porządku. A on chciał być chłodnym powietrzem, które przyniosłoby mi ulgę w parny, gorący lipcowy wieczór.

Nasza trzecia randka była jak z idealnego romantycznego filmu. Zabrał mnie do restauracji, użyczył marynarki, gdy powiedziałam, że mi zimno, spacerowaliśmy po parku. Żaby rechotały jak zwariowane, wyłapując wszystkie możliwe komary świata. Jacek opowiadał o swoich marzeniach i planach na przyszłość. Nie wiedział, że nie słucham i kiwam głową żabom, a nie jemu. Słońce zachodziło barwnie i pięknie, budząc plejadę światła na spokojnym jeziorzku. Wiatr głaskał delikatnie nasze twarze, a ja nie mogłam wyjść z podziwu nad tym, że świat potrafi być tak złośliwie idealny. Wiedziałam, że on będzie chciał mnie pocałować i że to będzie wielka porażka. Nie mogłam przestać myśleć o moim byłym mężu.

– Cholerne rowery – wyrwało mnie z zamyślenia. Jacek świdrował wzrokiem rowerzystów odpoczywających na ławeczce pod wierzba płaczącą. Oni jednak wstali, jakby ukłuci szpilką w tyłek, wsiedli na rowery i odjechali, co wzbudziło głośny zachwyty Jacka.

Wzruszyłam ramionami. Objęłam wzrokiem wierzbowe, zwiewne witki przeglądające się w jeziorze i znów poczułam pretensję do świata. Serio? Żaby, zachód słońca, jezioro i jeszcze ta cholerna wierzba? Jacek paplał jak nakręcony, ja myślami sunęłam gdzieś daleko, daleko. Czułam się jak weteran wojenny wyjęty z pierwszej linii walki i wrzucony wprost do tęczącej, cukierkowej sceny. Skołowana, zupełnie nie wiedziałam, co mam z tym zrobić.

– Rechoczą jak szalone – stwierdził mocny, solidny głos z lekką rozpaczą w ostatniej nucie, bo ile można gadać do zamyślonej, milczącej dziewczyny.

Oparłam się o mocne, solidne ramię wysokiego szatyna, którego widziałam trzeci raz w życiu. Zamilkł, przyciągnął mnie do siebie. Spojrzał mi w oczy i pocałował mnie. Spodziewałam się absolutnej porażki, a zostałam bardzo mile zaskoczona. To był naprawdę dobry pocałunek.

Od tej pory spotykaliśmy się niemal codziennie. Jacek mieszkał niedaleko mojego lokum, wpadał więc tak często, jak to tylko było możliwe. Czyli bardzo często.

– On był moim jedynym facetem w łóżku – wyznałam, kiedy szybkimi ruchami zdejmował ze mnie bluzkę. Nie był tym wzruszony, a mój słaby opór tylko go nakręcał.

„Już nigdy nikt nie będzie tym jedynym” – pomyślałam, prawie płacząc, a Jacek zdierał ze mnie resztki odzienia, ciesząc dłonie moim ciałem.

Myślami, wspomnieniami tkwiłam przy byłym mężu. Żegnałam się z nim po raz kolejny, przekraczając granicę, której wcale nie miałam ochoty przekraczać.

Tak bardzo go kochałam.

\*

Jacek przeleciał mnie wtedy konkretnie i mocno; zasnęliśmy przytuleni, a rano dostałam na śniadanie grzanki z pomidorami. Zamiast oglądać puste miejsce koło siebie, zjadałam pieczone rarytasy i patrzyłam na tego dziwnego faceta, który wpakował się w historię z dziewczyną w trakcie rozwodu, potłuczoną i ześwirowaną jak mops w jeżynach. „Na chuj ci to, chłopie?” – dumalam niecenzuralnie, kręcąc głową.

Do tej pory nie wiem, na chuj mu to było.

– Pomogę ci – powiedział, a ja go pogłaskałam po szorstkich, krótkich włosach.

Położyłam jego głowę na swoich nagich piersiach; nie, żebym była wzruszona i poruszona. Czułam, że cały świat sprzyja temu, co się dzieje, że on jest cały mój, oddał mi się mimo mojej szczerości. Nie rozumiałam tego zupełnie, czekałam, aż bajkę diabli wezmą. To było za piękne, zbyt idealne, jednym słowem – okropnie podejrzaną. I ja sama w tym wszystkim, bezwolna, obojętna.

Wiecie, jak to jest otrzymywać coś od kogoś i wiedzieć, że nie jest się w stanie dać nic w zamian? Bardzo chciałam zacząć chcieć, marzyłam o tym, żeby mi się chciało, ale było mi niezmiennie wszystko jedno. Mogłam spacerować z nim po parku, mogłam leżeć na łóżku i wpatrywać się w sufit – właściwie nie czułam różnicy. Jacek wędrował po świecie, trzymając mnie przy sobie, pokazując rodzinie i znajomym, a ja szłam z nim, nogi mnie niosły, ale głowę miałam, jak sowa, odwróconą w tył. On, czołg, parł do przodu i oczekiwał po mnie identycznej postawy. Opowieści o śpiewających ptakach ucinał po kilku zdaniach; szukał logiki i sensu w każdym moim słabym działaniu. Nie mogłam przy nim oddychać, był wszędzie, zawsze; bez przerwy, bez wytchnienia, bez sensu. Cichym oporem doprowadzałam go do szału, awanturował się dziko, kąsał. Znosiłam to coraz gorzej.

– Boję się, że mi uciekniesz – wyznał kiedyś, a ja nie mogłam go uspokoić zaprzeczeniem.

Wiedziałam, że od niego ucieknę. Nie można niczego budować bez równowagi, a ja byłam, zaiste, chodzącą „równowagą”.



7.

Świat alternatywny. Każdy ma jakiś. Dla jednych to klub z rozkołysanymi ludźmi, alkoholowe zamroczenie i interesujące pobudki o poranku. Dla drugich – siłownia, rzeźbienie ciała, dbanie o dietę. Jeszcze inni jeżdżą po świecie, pragnąc uciec od własnych myśli. Tych skołtunionych, w których nie widać ani początku, ani końca. Wiecie, o czym mówię?

Ja też mam swój alternatywny świat, nie myślcie sobie! Jest niezwykle zielony, pełen wartości, ciepła, zrozumienia; czego tam nie ma! (Komarów.) Umieszczam w nim wszystkie te osoby, które były dla mnie niezwykle ważne. Gapię się w nocne niebo, szukając trzech gwiazd

ułożonych w jednej linii. To, zdaje się, pas Oriona, ale nie musicie mi wierzyć, nie znam się na tym. Trzech gwiazd w jednej linii nie wymyśliłam – one istnieją. Którejś nocy, kiedy siedziałam na parapecie, a cały dom spał, postanowiłam, że jedną z tych gwiazd będzie mój piesek. Był moim najlepszym przyjacielem, ale umarł. Tęskniłam za nim okropnie. Pomyślałam sobie, że każdej bezchmurnej nocy będę patrzeć w niebo i zawsze znajdę tę gwiazdę. Kiedy z kolei ja umrę, to ona wciąż tam będzie. Niesamowite, prawda?

Nie płaczę przy obcych ludziach, przy znajomych również nie – po prostu nie mogłabym tego znieść. Mogę opowiadać o nieudanym małżeństwie w taki sposób, że słuchający pękają ze śmiechu. Wtedy nawet nie przychodzi mi do głowy, żeby uronić kilka łez rozżalenia nad własnym losem. Każdy temat potrafię tak okręcić głupotami, żeby świat wyszczerzył zęby.

Jest jednak coś, przy czym moje nadzwyczajne umiejętności znikają jak sen złoty. Śmierć bliskich osób rozwała mnie jednym strzałem. Jeśli chcecie, żebym jak najszybciej zamknęła gębę i przestała się wygłupiać, zapytajcie o mojego psa i przyjaciółkę K. Działa to na mnie jak zaklęcie.

Mój pies był ogromnym, czarnym owczarkiem. Kiedy stał na tylnych łapach, znacznie mnie przewyższał. Bardzo był śmieszny ten mój pies, robił nam różne żarciki. Jestem pewna, że też byście go ogromnie lubili. Kiedy szliśmy lasem na plażę, chował się w krzakach jagodowych i czekał, aż go znajdziemy. Wprost przepadał za zabawą w chowanego. Pewnego dnia wlałam na drzewo i nie mógł mnie znaleźć. Szukał przez dobrych piętnaście minut, strasznie go wkurzało, że mnie słyszy, ale nie widzi. Wreszcie podniósł łeb, ucieszył się jak nie wiem i ściągnął mnie z tego drzewa.

Potem, za każdym razem kiedy się chowałam, pierwsze, co robił, to podnosił łeb. Taką miał, szelma, niesamowitą pamięć. Ciekawe, że teraz to ja podnoszę głowę, żeby znaleźć jego.

Ponieważ był to pies pasterski, kiedy wyjeżdżaliśmy na wieś, czasami nam zwiewał, żeby gonić krowy. Dopóki nie zgromadziły się w stado, nie odpuszczał. Czuł taką wewnętrzną potrzebę zbierania wszystkich do kupy. Nas też zawsze utrzymywał w porządku. Nie znosił rozproszenia. Kiedy którekolwiek z nas zostawało w tyle, kręcił się i niecierpliwił.

Szczekał tak zupełnie nieagresywnie, jakby dla zgrywu, często ze znakiem zapytania. Zrzucał ze schodów puste butelki po wodzie i trwał w bezruchu, urzeczony patrząc, aż wszystko spadło na sam dół. Był wielkim smakoszem surowych marchewek, jabłek i brokułów. Gdyby mógł, byłby pewnie wegetarianinem. Właził nam do łóżek, przykrywał się kołdrą i zasypiał. Czasami siadał na kanapie swoim kościstym tyłkiem, trzymając wszystkie łapy na podłodze. Oglądał wtedy telewizję.



No mówię wam, mnóstwo śmiechu z nim mieliśmy. Dla mnie miał wyjątkowe znaczenie, dawał mi całą masę ciepła. Przymulałam się do niego bez przerwy, czasami wzdychał z rezygnacją, bo ile można. A ja leciałam do niego z każdym swoim dziecięcym smuteczkiem i problemikiem.

A potem umarł. Przyszedł weterynarz i wstrzyknął mu jakąś substancję usypiającą. Pamiętam to niestety doskonale. Nic nie można było dla niego zrobić, miał raka, przerzuty i takie sprawy. Okropnie się męczył. Świrowałam wtedy, kładłam się przy nim i wierzyłam, że jeśli polizę jego chorą łapę, to wtedy zabiorę mu tego raka i to ja będę chora, a nie on. Wydawało mi się to zupełnie sensownym rozwiązaniem. Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło, co mnie niemile zaskoczyło.



W świecie alternatywnym mój pies skacze jak królik nad sitowiem. Ach, czego tam nie ma! (Kleszczy.) Podobałoby wam się w mojej głowie, to więcej jak pewne.

Kiedyś wpadłam na genialny pomysł, że zamknę się w nim na dobre. Po prostu posiedzę dłuższy czas bez ruchu, moja świadomość zgaśnie jak żarówka i – ciach! – zniknę. Moje myślowe kołtuny zostałyby sobie gdzieś tam w przestrzeni, dziwiąc zdrowe, sensowne części świata. Ciekawam: co by się z nimi wydarzyło? Może spadłyby na ziemię i użyźniły glebę? Wyrósłby na tym burak, ktoś by go zabrał, przyrządził, zjadł, beknął i powiedział: „jaki dobry był ten burak!”.

Ja sama mogłabym słuchać rzewnych skrzypiec, urządzać wyścigi ze spersonifikowanym przeze mnie Wiatrem, rozmawiać bez końca ze zmarłą przyjaciółką K., głaskać mojego psa wegetarianina, siedzieć na wściekle słonecznej plaży, śpiewać do szumu fal i być sobie wdzięczną za tę całą cikliwą, słodką nudę. Od zawsze marzy mi się taka nuda, dlatego z wypiekami na twarzy przeczytałam „Mistrza i Małgorzatę”. Koniecznie przeczytajcie tę książkę. Albo się ją uwielbia, albo nie znosi. Moja mama jej nie trawi – za bardzo lubi wiedzieć, co się dzieje. To bardzo konkretna kobieta.

– Masz co jeść? Działa ogrzewanie, jesteś zdrowa? – Zadaje zawsze te same pytania, dlatego nasze rozmowy mogą trwać krócej niż minutę. Odpowiadam, odbijam piłeczkę i wszyscy wszystko wiedzą.

Wiele razy próbowałam popaść w świadomą śpiączkę, ale nic z tego nie wyszło. To tak

jak z wylizaniem komuś raka, takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Słyszałam jednak o przypadkach, w których ktoś zwyczajnie nie wytrzymał i sfiksował. Obecnie rozpracowuję ten wariant. Rzucam się w każdą możliwą przygodę i czekam na efekty.

Czytaliście „Trędowata”? Koniecznie przeczytajcie.

Nie jest łatwo sfiksować, niestety. Mam mocny kręgosłup moralny i sumienie, które lubi sobie swobodnie powrzeszczeć. Lubię być w porządku i to mnie gubi. Kiedy tylko czuję, że przestaję być w porządku, myślę tak długo, aż znajdę sposób, jak wynagrodzić komuś swoją winę. To nie pomaga przy fiksowaniu. Robienie ludziom w poprzek zatem odpadło w przedbiegach.

Działania zaczęłam od alkoholu, bo tak najłatwiej. A jednak nie tak łatwo, jak by się mogło wydawać. Picie rano odpada, bo to bez sensu. Wieczorne szaleństwo ze znajomymi – jak najbardziej, ale nie upiję się do nieprzytomności, gdyż taki stan jakoś zupełnie mnie nie interesuje. Kilkanaście razy bujało mną na wszystkie strony, przyjemna mgiełka rozplątywała wszystkie kołtuny umysłu. Ktoś wyobraził sobie nie wiadomo co, obejmując mnie w pasie, ja rzucałam nagle bolesnie trzeźwe spojrzenie i szłam do domu, przeklinając się za swoje idiotyczne zasady.

– Może zapalimy zioło? – zaproponował któregoś dnia Jacek, ten fajny, wysoki szatyn, który mnie wyrwał w autobusie. Był dla mnie dobry, tylko taki mocny i solidny i nie miał w sobie ani odrobiny poezji. W ogóle mnie nie rozumiał.

– Dobra – powiedziałam zachwycona. Oto wreszcie szansa na fiksację! Zapaliłam z nim trzy razy. Cieszyłam się z głupiego żartu w internecie, ze swojego połamanego paznokcia, głupkowata radość wypływała ze mnie dzikimi falami.

– Palimy? – zapytał mnie znów któregoś dnia, a ja wzruszyłam ramionami. Eee, nie mam ochoty.

To moja ogromna wada: nigdy nie zrobię niczego, na co nie mam ochoty. Można mnie ciągnąć za włosy, kopać w zadek, a ja, jak osioł, zaprę się i nie zrobię. Chciałam sfiksować, ale nie miałam ochoty palić więcej zioła. I wróciłam do punktu wyjścia.

Alkohol, narkotyki odpadły więc. To zupełnie nie dla mnie. Kluby? Poszłam kilka razy, tańczyłam pół nocy, ale gdy tylko jakiś typek przyplątywał się i zaczynał mnie obłapiać, raziłam go wzrokiem morderczo nieseksownym. Mój prosty umysł nie potrafi zapaść się w przygodne, obłeśne klubowe ramiona. Włącza się bez przerwy, gada do mnie to swoje „ale pusty dupek”. I strzelam wtedy w faceta lodowatym spojrzeniem z odcieniem politowania. To wszystko dzieje się jakoś poza moją świadomością. Chciałabym, a nie mogę.



Nie wiem, jak inaczej można ześwirować. Ostatnią próbą było leżenie przez pięć dni w łóżku. Taki eksperyment. Facet, który mnie dręczył od pół roku, złamał mi wreszcie serce. Tak sobie wtedy mówiłam, bo lepiej brzmiało niż kolejne Wszystko Mi Jedno. Zrobiłam obiad na kilka dni i zaległam w pościeli z muzyką do filmu „Shopgirl”. Poleciłabym, ale to komedia romantyczna, a nie chcę uchodzić za osobę, która ogląda komedie romantyczne. Wyłączyłam telefon i komputer, żeby było bardziej dramatycznie.

– Jak się wtedy czułaś?

Magda, pamiętacie ją? Ta miła psycholog od Nierównych. Opowiedziałam jej o wszystkim po fakcie. Zawsze opowiadałam jej o wszystkim po fakcie. Strasznie ją to wkurzało. Chciała być na bieżąco, a nie słuchać o tym, co już się wydarzyło. Patrzyła na mnie zatroskana, wiedziała, że świruję, bo nie mogę ześwirować. Sprawiała mi przykrość tym swoim zatroskanym wzrokiem, nie chciałam jej martwić.

– Czułam, że nie mam szans – wyznałam, wruszając ramionami.

Przez te pięć dni solidnie się odwodniłam; cała wilgoć mojego organizmu wyparowała przez oczy. Leżałam, słuchałam ścieżki dźwiękowej z tego filmu, którego wam nie polecę; nie chciałam myśleć o nikim i o niczym; cała byłam muzyką. Potrzebowałam pięciu dni takiego stanu. Z przerwami na mycie się i jedzenie. Potem wstałam i wyłączyłam telefon, bo mnie to leżenie znudziło. Zadzwoiła moja mama z pytaniem, czy mam co jeść i czy jestem zdrowa. Powiedziałam, że tak, zapytałam o to samo i wszyscy byli szczęśliwi.

– Na co nie masz szans? – drażyła temat dziewczyna o pięknie wyrzeźbionej brodzie. Uwielbiałam tę jej brodę, często malowałam ją palcem w powietrzu.

– Żeby się tu wpasować sensownie – wyznałam, podrygując prawą nogą. – Mam inną wizję wszystkiego, inne podejście do wszystkiego, nie potrafię tak jak wszyscy, nie umiem tak jak wszyscy i nie chcę tak jak wszyscy! – Prawie krzyczałam, machałam rękami. Na serio, zupełnie idiotycznie zdenerwowałam samą siebie.

Nie wiem, czy istnieje jakiś sposób na sfiksowanie z dnia na dzień. Wciąż szukam. Jeśli coś wymyślę, na pewno wam o tym powiem.



Amsterdam. Byliście kiedyś? Niesamowite miasto. Wąskie, ładne uliczki upstrzone mniej lub bardziej sensownymi sklepami, z mniej lub bardziej obscenicznymi akcesoriami. Są ziołokafejki, ziołocukierenki; jest dzielnica czerwonych latarni ze zmęczonymi, zrezygnowanymi paniami za szybką. Napaleni faceci ślinią się na ich widok, a one spokojnie palą papierosy, czekając na klientów, którzy rozbiorą je z cienkich lateksowych paseczków nie tylko wzrokiem, ale i rękoma.

Sex shopy, muzeum seksu, zblazowani artyści w kapelusikach i krótkich spodenkach. W Amsterdamie wszystko jest możliwe. Tłum napiera z każdej strony, każdy się gdzieś spieszy. Romantyczna historia z obślinionym facetem na rowerze może stać się i waszym udziałem. Jeśli tylko o tym marzycie.

Lubię amsterdamski dworzec, za piątym razem przestałam się w nim gubić. Wiem, gdzie znaleźć autobus, po której stronie są tramwaje; trafię nawet do punktu doładowań kart miejskich. Czasami przystaję pogapić się na kogoś, kto gra na pianinie ustawionym przy jednym z wejść. Bratnie dusze ściskają telefony, nagrywając przygodnego muzyka; wtedy robi mi się smutno i idę dalej. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś usiadł tam i zagrał tak sobie zwyczajnie, z potrzeby serca, płynąc na wygrywanej przez siebie melodii. Wiecie, jak wygląda wkręcony pianista? Strasznie macha głową. Otóż przy pianinie ustawionym przy jednym z wyjść z dworca w Amsterdamie nikt, kto gra, nie macha głową. Jak dla mnie to bardzo solidny wyznacznik braku wkręcenia. Ale, rzecz jasna, wcale nie musicie podzielać moich poglądów.



Sam dworzec to przepiękny neogotycki budynek, za który, ponad sto lat temu, architekt Cuypers otrzymał od holenderskiej królowej złoty medal. Gdybym miała coś do powiedzenia, wręczyłabym mu jeszcze jeden. Dekoracje wykonał zaś ktoś z Austrii, są bardzo szczegółowe i drobne. Za każdym razem, gdy na nie patrzę, dostaję zeza, a po powrocie do domu nie pamiętam nawet jednego elementu.

Tim towarzyszył mi któregoś dnia w wyprawie do Muzeum Van Gogha. Ten malarz budzi we mnie bałwochwalcze uwielbienie. Kiedy wpatrywałam się w jeden z całej masy jego autoportretów, ten na pierwszym piętrze, czułam, jak wzruszenie ścisną moje gardło. Mogłam podejść tak blisko i oglądać oryginalne płótno ze śladami ruchów pędzla szalonego Holendra. Absurdalna ilość farby, znerwicowane kreski. Pożerałam wzrokiem ten obraz, zapominając o istnieniu Tima za moimi plecami. Czasem chwytaliśmy jego spojrzenie, którym pieścił moją osobę. Wzruszałam ramionami; na początku wszyści się pieszczą wzrokiem.



Opowiadałam Timowi o samotności, trudnym charakterze, mocnych uczuciach jego rodaka. O jego odwadze życia po swojemu, wbrew oczekiwaniom otoczenia. Jednocześnie myślałam o wszystkich Holendrach, których do tej pory poznałam. Sam Tim – bardzo chłodny w obejściu, zorganizowany i dość płytki – ładnie wpasowywał się w profil pierwszej z brzegu osoby w tym kraju. Van Gogh – marzący o gorącym uczuciu; przeżywający świat boleśnie intensywnie, naturalnie mocno – jest jak kropla krwi na białym, wyprasowanym kołnierzyku. Ognisty człowiek pełen świeżych myśli i uczuć, ciekawy świata, odbierający świat wszystkimi zmysłami. Pomyślałam, że swoimi pięknymi kolorami ukradł wszystkim innym Holendrom ciepło oraz barwy na kilkaset lat do przodu.

Po dwóch miesiącach spędzonych u Kasi uchodzę we własnych oczach za znawczynię tematu. Kamery są w tym kraju rzadkością, co początkowo mnie zdumiewało, rozgryzłam z czasem tę kwestię. Otóż przyczyna tkwi w holenderskiej umysłowości. Przykładowa jazda autobusem na gapę jest tutaj zwyczajnie niemożliwa. Wejść można wyłącznie z przodu, należy przywitać się z kierowcą ubranym w elegancką białą koszulę. Nie ma innej rady, trzeba przytknąć swoją kartę miejską do specjalnego urządzenia i, jeśli w uszach wszystkich wokoło rozlegnie się długi, przykry dźwięk, albo się rejteruje, albo płaci kierowcy za osobny, droższy bilet. Wybicie sobie z głowy jazdę bez biletu, to po prostu nie ma szans się wydarzyć.

Oczywiście polska dusza zawsze znajdzie sposób. Bywa, że, z uwagi na dziecięcą wózek,



kierowca wpuszcza mnie z Kasią tylnymi drzwiami służącymi wyłącznie do wychodzenia. Wtedy tylko jedna z nas korzysta z urządzenia do przytykania karty miejskiej umieszczonego przecież z tyłu, a zatem niewidocznego dla kierowcy. Robimy też takie numery, że kiedy Kasia zostaje w domu, a ja muszę gdzieś jechać, zabieram jej kartę miesięczną i bez żadnych wyrzutów sumienia jeżdżę sobie bezpłatnie. Nazywajcie mnie złodziejką, śmiało, mi to nie przeszkadza. Sto dwadzieścia euro na przejazdy autobusem nie są jednak na moją kieszeń, bo tyle właśnie mniej więcej zarabiam.



Główny wątek odleciał mi jednak z horyzontu niczym kapelusze na amsterdamskim Piździplacu (Piździplac to miejsce przed dworcem, gdzie wiatr harcuje, jak mu się żywnie podoba, niezależnie od pory roku i pogody).

Mówiłam o Holendrach. Kontrolują siebie nawzajem, co jest dla nich zdumiewająco naturalne. Niespecjalnie też lubią różnorodność. W miasteczku M., gdzie mieszkam, wszystkie domy wyglądają identycznie, dekoracje z metalowych ważek i serduszek, rzadziej gipsowych głów Buddy, powtarzają się na każdej ulicy. Różnorodność to kolor dekoracji oraz wybór miejsca na jej powieszenie. Jednocześnie żadna z tych ważek czy głów Buddy nie ma żadnego znaczenia. Nikt ich nie kupuje dlatego, że lubi ważki i Buddę. Możecie być tego pewni.

Odsłonięte okna mają uspokajać przechodniów, że w środku naprawdę nie dzieje się nic specjalnie interesującego i nawet nie warto doń wpadać z wizytą – Holendrzy nie lubią gości.

Co o nich więcej? Sama nie wiem, nie chcę tak obrażać wszystkich na prawo i lewo. Mają przecież dużo pozytywnych cech. Porządni, doskonale zorganizowani, dbają o swoje domy i ogródki, aby tworzyć schludną przestrzeń. Generalnie uprzejmi, o dobrych manierach; trzykrotnie całują się w policzek przy powitaniu, nawet widząc się po raz pierwszy w życiu.

Ognia jednak w nich tyle, co w zmęczonej gąsienicy zadumanej nad ilością własnych odnóży. Cały holenderski ogień pochodzi chyba z importu.

## 9.

Miałam kiedyś męża. Fajny chłopak, bardzo go lubię. Gadamy, wysyłamy sobie zdjęcia, spotykamy się od czasu do czasu. Spokojnie mogłabym zerwać z nim kontakt, rzucać pod jego adresem niecenzuralne słowa, ale zupełnie mnie takie klimaty nie bawią. Ludzi ciekawi zawsze ta historia. „Jak się poznaliście?”, „Och, jejku, siedem lat razem”, „Co się stało, dlaczego?” –

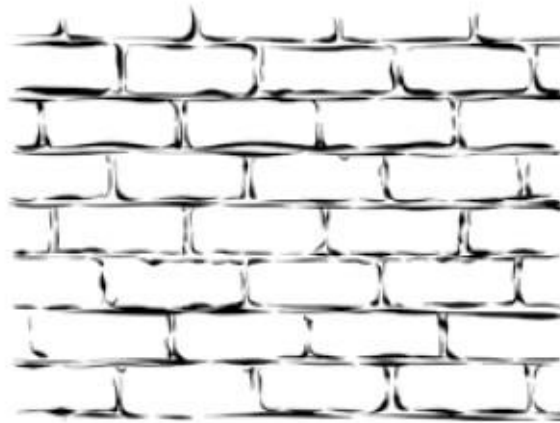
smutne, zakłopotane minki, niezręczna cisza.

Mówiłam wam, że noszę długie włosy? Faceci jakoś wyjątkowo je doceniają.

Kiedyś miałam obrączkę na serdecznym palcu prawej ręki, kręciłam nią kciukiem, to była taka moja nerwowa zabawa. Zdjęłam ją, kiedy On zgubił swoją. „On?” Nie chce mi się wymyślać jakiegoś specjalnego, zaszyfrowanego imienia dla swojego byłego męża. To naprawdę fajna osoba, a żadne inne imię niż jego własne mi do niego nie pasuje. To tak, jakbyście kogoś znali przez ćwierć życia i nagle zmienili mu imię.

Znów przerwałam sobie wątek. Długie włosy, tak. Myślę, że to w tym rzecz, bo kiedy zdjęłam obrączkę i zrobiło mi się wszystko jedno, nagle zakręciło się przy mnie jak w wodnym wirze. Bardzo byłam zaskoczona. Po co komuś osoba w trakcie rozvodu, której jest wszystko jedno? Kiedy ktoś gruchał czule do moich długich włosów, ja obdarowywałam go szczęśliwym, promiennym uśmiechem i mówiłam spokojnym, przyjaznym tonem: „Biorę rozwód, jestem rozpieprzona i generalnie się nikomu w tej chwili nie polecam”. Lubię takie kontrasty, bawią mnie, jak nie wiem co.

Ale wracając do tematu, gdyż odpłynęłam po raz kolejny w dygresje – historia miłosna. Przecież siedmioletni związek ma taką historię, że ho, ho. Jesteście jej z pewnością ciekawi.



Nic z tego. Mam zaspokajać waszą pustą ciekawość? Idźcie sobie na pierwszą z brzegu komedię romantyczną, czy będzie lepsza, czy gorsza, to bez znaczenia. Temat mojego małżeństwa lubię okręcać swoimi błazeńskimi dzwoneczkami. Kiedy jednak dla siebie samej usiłuję wgryźć się w tę kwestię, nic z tego nie wychodzi. Biała ściana, nic. Mogę sobie drapać, kopać, próbować, odpowiada mi tylko cisza.

Po naszym rozstaniu nic już nie było takie samo. Można kiwać głową ze zrozumieniem, a każdy wszystko zrozumie po swoim.

– Tak, tak, wypaliło się, co? – usłyszałam od osób, które się wypalają.

– Ktoś trzeci się pojawił? – wybuchło w powietrzu w kolorach zachodu słońca (bądź wschodu, kwestia melanzu pomarańcza z czerwienią i fioletem – wszystko się pięknie gryzie), kiedy zadzwoniła do mnie teściowa (nie pogryzłam jej).

– Wzięła ślub i się znudziło? – Powtarzane przez tych, którzy wzięli ślub i im się znudziło.

Najgorsze było jednak:

– Jesteś pewna?

Możecie w to nie wierzyć, to wasza sprawa, ale kiedyś byłam niezdzieralna.

Wychodziłam z założenia, że każdy z nas jest w stanie stworzyć ze swojego życia przepiękną bajkę – wystarczy tylko odpowiednio mocno chcieć, wytrwale dążyć do tego i działać. Działalam zatem jak nakręcona, wszędzie było mnie pełno, każdy wam to powie. O, ta dziewczyna z długimi włosami, wszędzie jej pełno; ambitna, wytrwała, daleko zajdzie!

Ale, ale... Ja do znudzenia o tych włosach. Wyrastają na głowie o bardzo dziecinnej twarzy. Lubię wiele rzeczy, lecz swojej twarzy zdecydowanie nie lubię. Taki cholerny milutki bąbelek, niech to szlag. Podziwiam twarze trójkątne, mocne rysy, seksowne, wydatne usta, drapieżny wzrok. Fascynują mnie. Takich kobiet nie głaszcze się jak kotka po głowie, oczekując, że zacznie mruczeć i wydmuchiwać nosem tęczowe bańki mydlane.

Mówię o tym, żebyście nie pomyśleli, że kiedykolwiek popadłam w samozachwyty. Pawie piórka w kuprze to coś, czego po prostu nie mogę znieść. Narcyzów omijam szerokim łukiem, bo budzą we mnie jakąś dziką niechęć. Mam ochotę wyrwać te ich przeklęte piórka, a im samym włożyć palec do ucha. Nikt tego nie lubi. Taki lodowaty palec, który wkręca się do mózgu i usuwa jakiś niepotrzebny kawałek odpowiedzialny za samozachwyty.

Zaszłam daleko mimo twarzy bąbelka i braku narcyzmu. Zostałam szefową działu. Mówiłam wam o tym? Wspaniałe wspomnienie. Awansowałam, czułam się doceniona i obsypana szczęściem. Przez dokładnie jeden dzień. Przez kolejny miesiąc tkwiłam w jakiejś dziwnej towarzyskiej wacie, współpracownicy unosili brwi na moją radosną wiadomość o awansie. Potem dostałam telefon z kadr, że rozpowszechniam taką to a taką informację zupełnie przez nikogo niepotwierdzoną, a to nieładnie, proszę pani. Musiano zajrzeć do mojej nowej umowy, żeby świat uwierzył.

Sami widzicie, nie ma szans zachorować na samozachwyty z takimi historiami w zanadru.

Tak, zaszłam daleko, biegłam jak pies po szyneczki, żeby mieć tę wychuchaną bajkę w życiu. A potem zatrzymałam się, żeby ją obejrzeć. Poza tym zabrakło mi tchu, bo ileż można biegać. Wyobraziłam sobie, że stoję w takim neutralnym miejscu, na jakiejś przyjemnej chmurze. Pojawiają się przede mną sympatyczne, lekkie ekrany; zawieszam je w powietrzu jak ramki ze zdjęciami – tutaj rodzina, tutaj mąż, tam moje marzenia, a tam praca. Pogapiłam się na nie trzeźwym wzrokiem; przekrzywiałam głowę jak półślepy dzięcioł.

No i rozwaliłam te wszystkie ekrany jeden po drugim, tłukłam je na drobne kawałeczki. Nie myślcie sobie, wtedy jeszcze byłam przy zdrowych zmysłach, odwaliło mi dopiero później. Po prostu nie mogłam zrobić inaczej.

Dyplom magistra w kieszeni, obrączka na palcu, „szef działu” na wizytówce – i nagle to wszystko wędruje do kosza.

– Ale jak to? – Pukacie się po głowach, bardzo słusznie zresztą.

– Jesteś pewna? Może to jeszcze przemyśl – słyszałam i pękałam ze śmiechu, budząc, jak to często bywa, konsternację. Wraz z upływem czasu przestałam się śmiać, a zaczęłam warczeć. Jak się coś buduje własnymi rękami przez siedem lat, a potem zamasyście rozwała, to głupio by było wcześniej tego nie przemyśleć. Czyż nie?

– Masz co jeść? Grzeją u ciebie? – pytała mnie moja mama, dzwoniąc raz na tydzień, i wszyscy byli zadowoleni, że mam co jeść i że grzeją. Odwiedzałam rodziców raz na dwa czy trzy tygodnie.

– Schudłam pięć kilogramów i nie chce mi się żyć – wyznałam im kiedyś, czując się jak cień samej siebie. Ojciec patrzył z uznaniem na zapadnięte policzki, żółtą cerę i moje oczy, których sama nie poznawałam w lustrze.

– Ale z ciebie laska! – rzucał w powietrze ze szczerym zadowoleniem, okręcając mnie wokół własnej osi. – Cieszę się, że jesteś w takiej dobrej formie i tak dobrze sobie radzisz.

Wtedy nawet nie chciało mi się błaznować, kręciłam tylko głową i jechałam do domu

zapadać się w swoją „doskonałą formę”.



– Czy oczekujesz od rodziców wsparcia? – Magda szukała ludzkich emocji w tym samym opowiadaniu, którym przed chwilą was uraczyłam. Pamiętacie Magdę? To ta piękna dziewczyna, psycholog. Z anielską brodą.

– Ja niczego od nikogo nie oczekuję – powiedziałam zgodnie z tym, co czułam. Pomilczałyśmy przez moment, szukałam odpowiednich słów. Bardzo dbam o to, żeby coś nazwać odpowiednio. Zawsze, kiedy użyję niewłaściwych słów, męczę się, jakbym miała szpilkę w tyłku.

– Nie chce mi się oczekiwać – podjęłam – szkoda na to czasu. Kiedy oczekuję, jest mi przykro, że tego nie ma. Mogę wtedy zacząć kogoś nienawidzić, bo wiem, że mam prawo oczekiwać. Ja jednak wolę wyjść z założenia, że nie mam prawa do niczego. Będę wdzięczna za to, co otrzymam od kogoś. Braki sprawiają mi smutek i cierpienie, ale przynajmniej nie czuję do nikogo żalu.

Kiwnęła głową i faktycznie wyglądała, jakby rozumiała.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Zastanowiłam się nad sobą.

– Powiedzmy, że mam jakieś potrzeby – przyznałam, gapiąc się na chmury za oknem. Zmieniłyśmy pokój, może jej też się znudziły te paskudne obrazki na ścianie. – Jestem ich świadoma. Chcę czuć się ważna dla kogoś, chcę być rozumiana, potrzebuję ludzkiego ciepła, życzliwości. To nie są jakieś wydumane życzenia i kaprysy – skomentowałam bez sensu. Uśmiechnęła się do mnie.

– Nie są – przytaknęła, a ja zerknęłam na nią podejrzliwie.

– Skoro potrafię to nazwać, zrozumieć kogoś, kto również za tym tęskni. Pamiętasz moją filozofię z tworzeniem bajki ze swojego życia?

Szkoda mi jej było, musiała pamiętać tyle rozpląsanych metafor; wszystko przez to, że nie potrafię niczego nazwać wprost.

– Teraz nie chcę się chować w żadną filozofię, bo to rodzaj jakiejś ucieczki przed Prawdą. Wolę dostać w łeb jeszcze milion razy, ale nie otumaniać się niczym – paplałam i straciłam wątek. Czasami mi się to zdarza. Bywa, że zaczynam o czymś mówić i tonę w dygresjach, a myśl przewodnia gdzieś tam leży i patrzy na mnie z powątpiewaniem. Albo zdarza mi się zacząć temat i znudzić się własnymi słowami. Wtedy ucinam wypowiedź w połowie zdania. Po co się pchać

w coś, co znudziło mnie samą?

– Mówiłaś o zrozumieniu – odpowiedziała psycholog od Nierównych, niesamowita dziewczyna. Ma umysł jak żyłeta.

– Ach, tak. – Usunęła przykry *error* z mojego mózgu. – Rzecz w tym, że skoro rozumiem, bo tego nie mam, to mogę tym emanować. Wiesz?

Nie wiedziała.

– Mogę dawać to, czego sama nie dostaję od nikogo, bo rozumiem, jakie to trudne i przesrane tego nie mieć – podsumowałam elegancko, ogromnie z siebie zadowolona. Magda nie podzielała mojego zadowolenia. No mówię wam, nawet przez moment nie da rady z tym samozachwytem.

– To bardzo piękne, co mówisz. – Posmarowała mnie lukrem uznania. – Ale tak nie można żyć.

– Dlaczego nie? – spytałam z czystej uprzejmości. Żyłam w ten sposób od dłuższego czasu, a rezygnacja wiążąca się z brakiem oczekiwań raczej przynosiła mi ulgę niż przykrość. Każdy okruszek ciepła cieszył mnie za to jak niespodziewany kawałek czekolady.

– Bo to nie są żadne wydumane kaprysy, tylko zwykłe, ludzkie potrzeby – rzuciła mocnym, pewnym siebie głosem, jakby właśnie zmieniła moją rzeczywistość. Może faktycznie tak było, ale nic w tym już zabawnego, więc zacznę nowy rozdział.



10.

Moje holenderskie samotne wycieczki rowerem zawsze były nad wyraz udane.  
Edam.



Ogromnie lubię to miasteczko. Jest przede wszystkim wąskie. Rzeczka, mostki, kawiarenki, niskie, ładne domki. Jeden z nich pochodzi z czasów głębokiego średniowiecza. Można do niego wejść, obejrzeć to i owo, posłuchać w zestawie słuchawkowym ciekawostek oraz historii pierwszych mieszkańców. Tym mnie tam zabrał. Podziwialiśmy średniowieczne łóżko, na którym się siedziało, a nie leżało (panowało przekonanie, że w tej pozycji śmierć nikogo nie zaskoczy). Kołyskę dla dziecka, pływającą piwnicę (mój podziw dla niej był przytłumiony, gdyż wyrznęłam się czołem w pływający schodek). W kuchni zachwycił mnie metalowy zlew, mydło w płynie oraz plastikowe arcyklimatyczne owoce pyszniące się na średniowiecznej paterze. Nic na to nie poradzę, że widzę zupełnie nieistotne detale.

Przykro mi, nie przepadam za serami, zatem kwestia tego żółtego śmierdzącego rarytasu niech pozostanie dla was tajemnicą. Zaintrygował mnie natomiast maleńki sklepik z szyldem „Chocolaterie”. Kiedy po raz drugi pojawiłam się w Edamie (tym razem sama), weszłam do owej Czokolaterii i moje serce zostało skradzione przez właściciela, pochodzącego z Palestyny. A także przez czekoladowe, dorodne penisy umieszczone w gablotce idealnie w polu widzenia dzieci. Byłam oczarowana. Nie mam daru plucia pieniędzmi, zatem przyglądałam się wszystkim czekoladowym wyrobom pełna wahania, na co wydać ewentualne pięć euro. Właściciel, niski, zaokrąglony jegomość o przemilej, pomarszczonej twarzy, patrzył na mnie z uśmiechem. Po kilku minutach mojego bezproduktywnego gapienia się nałożył nieco czekoladowych ziarenek na małą srebrną łyżeczkę i poczęstował mnie nimi.

– *Goed? Charaszo? Bien? Good?* – Próbował odnaleźć mój język. Następne pół godziny spędziliśmy na rozmowie i spożywaniu kolejnych porcji czekoladowych ziarenek.

Opowiedział mi, jak to w młodości uciekł ze swojego kraju, założył ten sklep i prowadzi go od ponad czterdziestu lat. Stracił cierpliwość do religijnych wygłupów swoich rodaków, jak to sam stwierdził. Potrzebował spokoju. Wiedziałałam, że nie jest Holendrem, miał w sobie dużo niewymuszonej serdeczności i zaciekawienia drugim człowiekiem. Spytał, co tutaj robię i kim jestem. To były doskonałe pytania, na które jednak nie potrafiłam odpowiedzieć. Wymyśliłam coś na pniu, on udzielił mi cennych porad, podziękowałam mu szczerze, żałując, że moje opowieści są takie wyssane z palca.

Kupiłam paczkę tych czekoladowych ziarenek, zasmakowały mi osłodzone opowieściami o potrzebie wolności, znalezienia swojego miejsca na ziemi.

– Nie tęskni pan za krajem? – spytałam, mając na myśli bardzo ładne, ale na dłuższą metę morderczo nudne miasteczko Edam.

– Teraz już nie. Dużo tu turystów – dodał, niby bez sensu, ja jednak wiedziałam, co ma na myśli. Ludzie z ogniem potrzebują innych ludzi z ogniem. I kropka.

Przerwa  
Volendam.



Sama nie wiem, co o nim myśleć. Jechałam dziesięć kilometrów, aby zajrzeć do Muzeum Historii Sztuki. Dziwna nazwa, jeszcze takiej nie znałam, zapragnęłam zatem znaleźć i obejrzeć to dziwo. Zanim dotarłam do samego miasteczka, zdążyłam trzykrotnie pomylić drogę. Czasem jestem rozkojarzona i się gubię. Po trzech godzinach jazdy, urozmaiconej moim niepotrzebnym kluczeniem, dotarłam do Volendam. Podążałam za znakami „Muzeum Historii Sztuki” gęsto rozsyłanymi po uliczkach. Głowa latała mi na wszystkie strony, skupiałam swoją uwagę na maksa; nic mi to jednak nie pomogło. Muzeum nie znalazłam.

– Przepraszam, czy wie pan, jak trafić Tu a Tu? – zagadnęłam po angielsku pewną osobę, która wypinała w moją stronę lekko rozlazłą pupę odzianą w ogrodniczki. Po chwili powtórzyłam pytanie, gdyż nic się nie zmieniło w tej wypiętej figurze. Zobaczyłam spalony od słońca wielki nos i zaskoczone oczy faceta w średnim wieku, wyglądające zza ogrodniczek.

– Hhhhhh? – rzucono w przestrzeń na próbę, a postać wyprostowała się do co najmniej dwóch metrów wysokości.

– *Pardon me?* – powiedziałam, powstrzymując wybuch śmiechu spowodowanego usłyszanym charkaniem.

– Hhhhhhhh, uyuyuyuy! – Dźwięki zbombardowały mnie nielitościwie, a mocne, szczupłe dłonie w brudnych rękawiczkach machały we wszystkie strony jak wiatrak. To wszystko wyglądało i brzmiało niesamowicie interesująco, ale nie było szczególnie pomocne.

– Aha. – Kiwnęłam głową, kiedy holenderska pantomima dobiegła końca. – Dziękuję – skwitowałam naszą konwersację po polsku, bo pomyślałam, że to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Rozstaliśmy się w głębokiej przyjaźni.

Po kilku podobnych próbach nawiązania kontaktu postanowiłam darować sobie muzeum i po prostu pojechać nad zatokę. Wiedziałam, że w Volendam jest zatoka. Po drodze minęłam

mapkę z dużą ilością niebieskiego koloru. Wystarczy dojechać do centrum i zatoka sama wejdzie w oczy. Dojechałam do centrum, minęłam zagadkowe zakłady produkcyjne, centrum ze sklepami, dojechałam do wału. Wybrałam drogę w lewo, bo tak miałam zrobić zgodnie z obejrzaną wcześniej mapą. Przejechałam kilometr czy dwa i zobaczyłam znak z przekreśloną nazwą „Volendam”. Aż zsiadłam z roweru.

– Ale jak to? – rzuciłam w przestrzeń boleśnie; nikt jednak nie mógł mi udzielić lepszej odpowiedzi od tej, którą sama znałam. Pierdoła nigdy, ale to nigdy nie powinna nigdzie jechać bez GPS-u.

Machnęłam ręką i ruszyłam w dalszą drogę, oglądając kwitnące kasztanowce, czyste, zadumane krowy, gęgające gęsi oraz niekończący się pas nowo budowanych domków. Nie mogłam wjechać na wał. Pozostawało dla mnie zagadką, co jest po jego drugiej stronie. Wreszcie, po półgodzinnej jeździe, zagadka została rozwiązana.

Trafiłam nad zatokę!

W Edamie.

\*

Monnickendam



Do tej pory nie wiem, czy dobrze to napisałam. Pierwszy raz pojechałam tam z Kasią i całą jej rodziną nad jezioro, by spędzić sobotę na świeżym powietrzu. Minęliśmy wybrukowaną uliczkę prowadzącą do centrum (podobną do edamskich wybrukowanych uliczek), kierując się do lasu. Za drugim razem nie zmieniłam trasy; wiedziałam, że Monnickendam wygląda tak samo jak Volendam i właściwie wszystkie okoliczne miasteczka.

Chciałam pomedytować na moło wypatrzonym poprzednim razem. Do samego miasteczka trafiłam – o dziwo – bez problemu (i bez GPS-u). Przejechałam przez niewielki lasek, minęłam trawiasto-piaszczyste poletka z minimalnym dostępem do wody, aż wreszcie przypięłam rower do śmietnika i doturlałam się na moje wymarzone moło. Zdjęłam buty, usiadłam po turecku, zamknęłam oczy. Było już dosyć późno i chłodno, a ja ubrałam się niewspółmiernie do pogody. Z zasady zakładam ciuchy zgodnie z moim nastrojem, ale nie zawsze bywa to zgodne z pogodą. Potem zawsze żałuję i obiecuję sobie poprawę, lecz następnego dnia robię to samo.

Postanowiłam nie zwracać uwagi na to, że się trzęsę z zimna. Po mojej prawej stronie



dwóch czy trzech panów niszczyło sobie gardła językiem holenderskim; kilka kaczek podpływało do mnie w oczekiwaniu na bułkę. Odpływały rozczarowane, pokwakując głośno, prawdopodobnie przeklinając mnie w swoim kaczym języku.

Po dziesięciu minutach założyłam buty, zesłam z molo, dzwoniąc zębami z zimna. Odpięłam rower od śmietnika i wróciłam do domu. I to koniec tej fascynującej historii, czy wam się to podoba, czy nie.

## 11.

Czasami poznaje się kogoś tak zupełnie przypadkiem, z jakiegoś przeczucia czy porywu. Ja tak poznałam K.

Kiedy miałam trzynaście lat, któregoś listopadowego wieczoru moja mama rozmawiała z jednym ze swoich współpracowników. Miałam do niej jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę, dlatego stałam jej nad głową i przebierałam nogami przez dobry kwadrans. Machała na mnie ręką, kręciła głową; a ja twardo przy niej tkwiłam. Wiecie, jakie nastolatki potrafią być upierdliwe. Wreszcie, zniecierpliwiona, posłała mi spojrzenie Meduzy. Podziałało, odczepiłam się na czas tej długiej jak stonoga rozmowy telefonicznej.

Po godzinie, słysząc, że odkłada słuchawkę, pognałam do niej z powrotem.

– Aaaale długo! – zaczęłam od marudzenia, ale zamknęłam usta, widząc lekki smutek na twarzy mojej mamy. Zapomniałam o tej jakiejś nastoletkowej, palącej kwestii, spytałam, co się stało.

Usłyszałam historię córki współpracownika, o dziewczynce urodzonej z wadą serca. Lekarze na dzień dobry nie dawali jej szans na przeżycie, może kilka tygodni, może kilka miesięcy. Przeżyła lat dziesięć, zaskakując cały świat. Całą sobą zapragnęłam nawiązać z nią kontakt. Nie pytajcie, co mnie do tego popchnęło, nie mam zielonego pojęcia. Nagły impuls. Ciach-trach! Muszę się z nią skontaktować i koniec, inaczej już być nie może. Dostałam jej adres mailowy, napisałam i od tej pory pisałyśmy do siebie bez przerwy. Nie mogę powiedzieć, że była najbliższą osobą w moim życiu. Mieszkała bardzo daleko, a widziałyśmy się może kilka razy. A jednak duchowo, nikt nie był mi bliższy. Gadała z wiatrem, tańczyła na plaży, śmiała się pełną gębą i marzyła o swoim Alternatywnym Świecie. Kończyła moje zdania, a ja kończyłam jej myśli.

Umarła pięć lat temu. Osobliwość jej serca niestety nie zdierżyła stresów, jakie funduje życie. Nie miałam szansy pożegnać się z nią; właściwie to nigdy do mnie nie docierało, że ktoś może tak nagle, bez żadnej zapowiedzi umrzeć.

Wciąż piszę do niej listy jak ostatni oszołom. Kiedy przebywam na granicy przytomności umysłu, idę do lasu i, maszerując ukrytymi, nieuczęszczanymi alejkami, szeptem do niej gadam. Robię też takie numery, że wyciągam milczący telefon i udaję, że do niej dzwonię. Wykonuję cały szereg gestów, przykładam telefon do ucha i nadaję. Po polsku, po angielsku, jak mnie najdzie ochota. Zawsze mi potem raźniej.

– A więc wciąż masz swoich wymyślonych przyjaciół? Jak w dzieciństwie? – podsumował mnie Tim tonem pełnym rozbawienia.

Opowiedziałam mu o zeszytach z listami do zmarłej K. i o gwieździe z psem. Gadanie z duchami pozostało dla niego tajemnicą. Ten człowiek, bogatszy ode mnie w lata, z umysłem podważającym wszystko i wszystkich, płynął w chłodnych wodach opanowania. Wiedział lepiej niż większość ludzi na świecie, iż jesteśmy jedynie pożywieniem dla robali.

Nie wiem, z jakiego powodu uznałam, że warto dzielić się z nim opowieścią o czymś

ponad to.

Z drugiej strony: faktycznie, można pęknąć ze śmiechu, słuchając, jakie głupoty ktoś jest w stanie wymyślić, kiedy nie potrafi pogodzić się z czyjąś śmiercią. Tim prawdopodobnie pękał ze śmiechu; choć, rzecz jasna, jego twarz nie wyrażała absolutnie niczego.

Wiecie, takie wynurzenia odkrywają we mnie odchył umysłowy. A jednak, kiedy Tim zadał mi swoje pytanie, pomyślałam, że on jest biedniejszy ode mnie.

## 12.



### Potwór Smutku.

Pamiętacie tę wybitną metaforę z chmurkami i ekranami w powietrzu? Zdaje się, że napisałam ją w rozdziale dziewiątym, ale nie jestem pewna. Stłuczenie wszystkiego, co stworzyłam i miałam do tej pory, sprawiło, że zleciałam z lekkich, przyjemnych chmurek wprost na własną facjatę. Wstałam oczywiście. Zbyt długie leżenie mnie nudzi. Stanie w miejscu też nie jest fascynujące, wybrałam się zatem Gdziekolwiek. Było mi właściwie wszystko jedno, gdzie mnie nogi poniosą. W tym właśnie momencie pojawił się Potwór.

Wyobrażam go sobie jako kruka z wielką łapą i dziobem służącym do chwytania i pożerania. Tańczę, tańczę, gadam od rzeczy, rozbawione otoczenie klepie mnie po głowie; a ja nagle znikam, kiedy taki kruk przyleci i zacznie krakać. Boję się go.

Można próbować stanąć obok, ale nic z tego. Potworowi Smutku obojętne, gdzie kto stoi, pożera także i strój błazna, nie jest wybredny.

Czasem dla zabawy wyobrażam go sobie o tak:



albo tak:



Niestety, kiedy przychodzi, moje poczucie humoru gdzieś się zawierusza. Niepokój wypełnia mnie po brzegi, pragnę gdzieś się schować, uciec, zniknąć. Byle znów mnie nie pożerał.

Robię wtedy bardzo dziwne rzeczy.

Kiedyś miałam nocować u znajomego, z którym połączyła mnie pewna Zimowa Historia (nie opowiem o niej nic więcej, bo nie jest śmieszna). Gadaliśmy długo i namiętnie, zrobiła się druga nad ranem. Usłyszałam kilka słów, które przyzywały mojego kruka. Znajomy poszedł do toalety, a ja założyłam kurtkę, buty i wyszłam na świat rozdzwoniony mrozem. Musiałam przejść pół miasta, żeby dotrzeć do domu. Nogi niosły mnie niezmordowanie, jakbym mogła w ten sposób uciec od upierdliwego krakania. Mogłabym stanąć na środku chodnika i zaśmiać się z własnej głupoty, ale ja musiałam iść dalej, dalej, dalej.

Innego dnia przez trzy godziny stałam na moście i oglądałam miejskie nocne światelka. Były piękne, białe, żółte, niebieskie, zielone, czerwone. Podziwiałam je i płakałam, kapiąc łzami do Wisły. Podobały mi się odbicia światełek w wodzie, podobała mi się chropowatość poręczy; wszystko mi się podobało, kiedy tak tonęłam w kołtunach własnego umysłu.

Jeszcze kiedy indziej zrobiłam sobie nocny maraton po najbardziej niebezpiecznych dzielnicach mojego miasta, szukając kłopotów. Jak na złość żadnych nie znalazłam, choć przez wiele godzin wędrowałam uliczkami okrytymi najgorszą sławą. Zrezygnowana, docierając już przed dom, natknęłam się na grupkę dresów. Podniosłam na nich oczy wypełnione nadzieją, ale usłyszałam tylko:

– Dobry wieczór.

Bywały chwile, w których jechałam do zimowego znajomego, co również zaliczam do dziwnych rzeczy. Jechałam do niego, a potem od niego uciekałam. Absolutne fiksum dyrdum.

Wszystko po to, żeby uciec od krakania nad moją głową.

\*

To brzmi jak wyznania wariatki, ale przecież ja sama twierdzę, że nią jestem. Co więcej – chcę zwariować jeszcze bardziej, tylko nie wiem jeszcze jak.

Pracuję nad tym. Mam wrażenie, że jestem na dobrej drodze.

Było naprawdę bardzo miło. Na Kasinej domowej imprezie Marcell, dość interesujący z wyglądu facet, kręcił się w pobliżu. Wypiłam sporo białego wina, więc nie chowałam się po kątach, poczęstowałam go żurkiem i wdałam się z nim w rozmowę, bo mnie zagadywał. Tim podpierał za mną lodówkę zatopiony w swoim wewnętrznym świetle. Zaczepiałam go kilkakrotnie, ale pozostawał niezbyt rozmowny. Marcell aż płonął z chęci pogadania, ja również nie chciałam skupiać się wyłącznie na konsumpcji wina, zatem zatonęliśmy w gadce-szmatce. Po chwili poczułam nagle, jak Tim staje obok, jedną ręką obejmuje mnie w pasie i przeprowadza atak werbalny na Marcella. Popatrzyłam z boku na tę scenę i zdławiłam śmiech.

\*

Faceci. Związki, relacje.

Obecnie mam związek po angielsku. Dosłownie i w przenośni. To bardzo romantyczna historia, świat wzrusza się, kiedy ją słyszy. Ja sama, słuchając wynurzeń Tima na imprezie, wpatrywałam się w niego zaciekawiona.

– Odbywałem podróż po Wschodzie. Ostatni dzień przed powrotem do domu spędziłem w S., poprosiłem znajomą o namiar na kogoś, kto mógłby mnie oprowadzić po mieście, pokazać ciekawsze miejsca. I tak poznałem... Utrzymaliśmy kontakt i teraz tralalalalala. – Tim jest konkretny, nie rozdrabnia się.

Słuchałam go życzliwie, nie dodając nawet przecinka do jego ładnie wyważonych zdań. Mogłabym uzupełnić tę suchą relację o różne wydarzenia, o których on nie miał pojęcia.

Kiedy mnie zobaczył, oczka mu się zaświeciły. Mnie nie. Przystojny, interesujący facet; bardzo życzliwy i nadszakujący – pamiętam, jak łapał mnie pod łokieć, kiedy się zagadałam i nieświadomie włożyłam prosto pod samochód. Wcale bym nie narzekała na taki obrót spraw, ale skoro mnie ratował przed pędzącym autem, nie chciałam psuć efektu. Rozmawialiśmy o tym, co dla nas ważne, o sprawach trudnych i bardzo osobistych. To był przyjemny dzień, spędzony z facetem, któremu natychmiast przyfasoliłam informacją, że biorę rozwód i strasznie jestem porębana. Nie zdziwiło mnie, że oczka nadal mu się świeciły – takie ostrzeżenia rzadko kogokolwiek odstraszą, uwierzycie? Z rezygnacją wysuwałam się spod blasku jego spojrzenia. Kolejne chwytnie pod łokieć subtelnie strząsnęłam z rękawa, a napięcie Chciałbym Cię Pocałować, jakie wytworzył podczas pożegnania, skwitowałam miłym, życzliwym uśmiechem idiotki, która nie wie, co się dzieje, rześkim cmokiem w policzek i odwrotem na pięcie.

Potem faktycznie utrzymywaliśmy kontakt. Ale wzruszałam ramionami; faceci plątali się w moich włosach, a ja z rezygnacją tylko odpłytywałam ich co jakiś czas.



Teraz jestem jego dziewczyną, ale to moja wina. Kiedy odtwarzam sobie tę scenę w głowie, nie mogę wyjść z podziwu nad tym, jak zgrabnie potrafię się czasem wypowiedzieć i co z tego wynika.

Zdarza wam się czasem coś takiego? Myślę coś, nazywam to elegancko jak osoba z zespołem Tourette'a, ktoś rozumie to na swój sposób. I nagle całe życie wchodzi na jakieś tory, których sekundę temu w ogóle nie zauważałam. Wtedy, zamiast wyjaśnić sytuację, otwieram szeroko usta i oczy, tępotą wypełniam przestrzeń... I tyle mojego. W tym wypadku wkopałam się w związek. Zamiast odplątać faceta z moich włosów, co było moim pierwotnym zamiarem (w ogóle do siebie nie pasujemy), zaplotłam go jeszcze w warkoczyk.

No, dobra, ale po kolei.

Niedziela mijała pod znakiem pożerania mnie przez Potwora Smutku. Atak paniki przyszedł i zniknął zauważony wyłącznie przeze mnie. Nadszedł wieczór wzbogacany wrzaskami dzieci Kasi świdrującymi mój mózg jak wiertarka. Pomyślałam, że dłużej tego nie wytrzymam.

„Tim” – napisałam, a on natychmiast zaczął odpisywać na moją poprzednią wiadomość. Miałam to w dupie. Działam pod wpływem głupiego impulsu.

„Jadę do ciebie”.

Wysłałam odziana w ciepły, wełniany, szary płaszcz, czując się tak okropnie, tak bezdyskusyjnie bezdomna.

Nie czekałam długo na autobus. W Amsterdamie natomiast spędziłam ponad godzinę, czekając na pociąg – pierwszy nie przyjechał. Uruchomiłam telefon, część wiadomości od przejętego sytuacją Tima doszła spóźniona o dobry kwadrans, uniemożliwiając mi złapanie wcześniejszego pociągu. Wcześniej, kiedy pisałam pod wpływem Potwora, moje wiadomości nie wysyłały się do niego. Najwyraźniej cały świat nie chciał, żebym tam jechała, i ja tak naprawdę też wcale nie chciałam, ale mój upór doprowadził mnie na miejsce piętnaście po jedenastej wieczorem. Jechałam w pociągu pełnym młodych, rozchichotanych ludzi, napisałam dwa wiersze i następnie świadomie zidiociałam. W przeciwnym razie moje usta napełniłyby się pianą, rozebrałabym się do rosołu i zaczęła płasć po wagonie, śpiewając sobie dla dodania otuchy.

Tim czekał na stacji. Zawiózł mnie na rowerze do siebie. Nie był specjalnie rozmowny, gniewał się o coś. Prawdopodobnie o kolejne z moich „wszystko mi jedno”. Tak sędzę, nie spytałam go o to. Zmieniliśmy poszewkę na kódrę, spytał, czy chcę wina. Zanim wpłynęłam pod

wilgotną pościel, przebrałam się w piżamę. Zostałam z niej natychmiast rozebrana, jak zresztą przewidywałam. Oni zawsze wykorzystują sytuację. Poszliśmy spać, ale nie było mi łatwo zapaść w krzepiący sen w lodowatym, nieogrzewanym pokoju pod wilgotną kołdrą. Tim chrapał, od czasu do czasu budziłam go swoimi ostrożnymi ruchami, kiedy przewracałam się z boku na bok.

Zupełnie nie pamiętam, o czym wtedy myślałam.

Rano znów mnie przeleciał, tym razem z jakąś mniejszą pretensją. Kiedy tępo patrzyłam przez okno na błękitne niebo i odcinające się od niego ciemnozielone igiełki modrzewia, spytał, czy wciąż mi smutno. Od tego momentu był coraz mniej zdystansowany, a ja z zaskoczeniem odkryłam w nim jakieś ciepło. Wieczorem, najedzeni wspólnie zrobionymi plackami ziemniaczanymi, leżeliśmy na łóżku, grzejąc się sobą, moim płaszczem i kołdrą. Gadaliśmy zupełnie swobodnie i przyjemnie, jakbym ja nigdy nie ścirowała ani on mnie nie doprowadzał do szału. Wtedy właśnie zadałam mu to pytanie, tak zgrabne i potrzebne jak połamany jeleń na środku autostrady.

– Więc jestem teraz twoją dziewczyną?

Świat naprawdę byłby bogatszy bez tego pytania.

Tim kocha moje ciało swoim ciałem, wpatruje się w moje oczy, mówi różne rzeczy, a ja mu nie wierzę, bo nikomu już nie wierzę. Dotykając jego nagiego uda, pomyślałam: „wiedz, że kocham cię w tej chwili i ty mnie kochasz w tej chwili, tu i teraz; aż teraz i pewnie tylko teraz”. A on się wzdrygnął.

Tim nie odciągnie mnie od mojego potwora, nawet nie chce, żeby to robił. Nie mam żadnego prawa ani tego oczekiwać, ani pragnąć. Jest, jak jest.

– A chciałybyś być moją dziewczyną? – Wyglądał na mniej spłoszonego niż ja. Wykręcałam paluszki, przestępowałam z nogi na nogę, ale już było za późno.

– Jesteś pewien? – spytałam, patrząc czujnie w jego oczy. – Jestem niezmiernie neurotyczna i dziwna.

– Nie przeszkadza mi to – odpowiedział ten dziwny facet. Coś mi to przypomniało, ale postanowiłam o tym nie myśleć.



Widziałam dziś kilkuletnie dziecko dłubiące w nosie. Mętne oczy, skupienie graniczące z ekstazy medytacją i ten palec świdrujący zawzięcie. Pomyślałam, że ja robię to samo, tylko ze swoim mózgiem, tak samo zawzięcie i ekstazy. Dziurawię sobie umysł.

Może wygląda już jak żółty ser?



15.

– Czy jesteś pewna, że nie wyjeżdżasz do Holandii po to, aby przed czymś uciec? – strzeliła pytaniem dziewczyna z anielską brodą. Pamiętacie ją?

W gruncie rzeczy było mi wszystko jedno, jaki jest powód mojego wyjazdu. Uraczyłam ją swoim wyświechtanym, sprawdzonym „zobaczmy”, ale wcale nie wyglądała na uspokojoną. Cały świat z zadowoleniem karmił się tym jednym słowem i okraszającym go uspokajającym uśmiechem promiennym jak lipcowe słońce. Oczami wyobraźni widziałam swój wyraz twarzy, taki pełny nadziei, wzruszony. Ale psycholog od Nierównych była na to zdecydowanie zbyt inteligentna.

– Czyli nie macz żadnych niepokojących spraw? – Wierciła mi dziurę w brzuchu.

Ależ nie, jestem niesamowicie pokończona, wszystko wspaniale, rozwód wzięty, Zimowa Historia skończona – nic, tylko jechać i komplikować sobie życie w innym miejscu.

Magda milczała, wpatrując się we mnie bystro. Nie wierzyła mi i to mnie nie dziwiło. Sama sobie nie wierzyłam. Machałam nogami, gestykulowałam żywo, gadałam o jakichś podsumowaniach – wciąż jednak marzyłam o tym, aby ześwirować i mieć wreszcie spokój.

– Powiedz – odezwała się nagle Magda miłym, cichym głosem – czy jesteś już w stanie tak na serio opowiedzieć o swoim małżeństwie?

Przestałam machać nogami. Wbiłam wzrok w ziemię. Tyle razy usiłowałam napisać albo opowiedzieć jej o tym. Opowiadanie znajomym o śmiesznych drobiazgach przychodziło mi bez trudu. Mogłam jej również opisywać nasze małżeńskie sprawy; a jednak nigdy nie nazwałam swoich uczuć, tak jakbym bezwiednie otoczyła je zaczarowanym murem.

– Nie – odpowiedziałam ze smutkiem. Minął rok od rozstania z mężem, a ja tak bardzo chciałam dobrać się do tego, co schowałam za tym murem. Wiedziałam, że to pożywienie dla mojego potwora.

Wyjechałam, wciąż nie nazwawszy tych rzeczy za murem.

## 16.

Jestem tu już dwa i pół miesiąca. Kończą się zlecenia na rysunki, robię więc własne projekty.

„Projekt”. To słowo brzmi tak profesjonalnie i poważnie, nawet jeśli jest tylko rysunkiem dupy pawiana.

– „Mój projekt to stworzenie rysunku dupy pawiana” brzmi bardziej fachowo niż „Rysuję dupę pawiana”.

Czyż nie?

Mój projekt dotyczy wprowadzie czego innego, jednak to wciąż coś, za co nikt mi nie zapłaci. Co jest, zaiste, bolesne.

Trochę podupałam na duchu. Brak gotówki nigdy nie przynosi specjalnego szczęścia. Tim pływa gdzieś w przestrzeni zajęty własnymi sprawami. Często odnoszę wrażenie, że nie jestem mu specjalnie potrzebna. Kasia, zatroskana moją pozbawioną emocji miną, wyciąga mnie z domu, kiedy tylko ma na to czas. Kilka dni temu wyruszyliśmy na imprezę, która jednak okazała się absolutnym niewypałem. Zrejerowałyśmy chwilę po północy, bynajmniej nie zgrywając Kopciuszków, pragnąc jedynie zagrzebać się pod kołdrą, zasnąć i zapomnieć.

Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, w jakim celu jeździ się do Holandii. Można być świrem pożerany przez potwora, jak ja; można tu zakładać rodzinę i tworzyć dom – jak Kasia. To jednak przypadki odosobnione, gdyż do Holandii jedzie się nabzdryngolić, połajdaczyć i w ogóle zapomnieć o wszelkich hamulcach. Z odległych miast, miasteczek i wsi napływają tłumy młodych ludzi, którzy chcą się setnie bawić. I się bawią. Zakładają szpilki, miniówecki, piją na umór, palą na umór; łążą po całym mieście, pokrzykując do siebie o tym, jak to się wspaniale bawią i jacy są szczęśliwi. Takie klimaty od zawsze budzą moją podejrzliwość. Jeśli ktoś milion razy powtarza, że się wspaniale bawi, a jego wzrok wyraża wyłącznie przytłumioną rozpacz, to ciężko uwierzyć takiej osobie na słowo. Jednocześnie trudno mieć do niej pretensje. Mijając takich ludzi, mam dylemat, bo chciałabym podejść i wyprytulać z nich wszystkie te pustki i rozpacz, a z drugiej strony trochę mnie jednak irytują.

Ja sama postanowiłam, że spróbuję przytłumić swojego potwora. Tańcem. Uwielbiam tańczyć. Nie ukrywam, muffinkę podobno z ziołem również przyjął z przyjemnością. Niestety musiała być z tej części ciasta, w której zioła zabrakło. Kasia miała to samo zdanie co do swojej muffinki.

Pojechałyśmy zupełnie trzeźwe, najedzone nieszkodliwymi babeczkami, które bardziej działały na naszą wyobraźnię niż na rzeczywistość. Imprezę zorganizowano pod pretekstem urodzin jednej z licznych znajomych Kasi. Oczywiście tak naprawdę każdy przyszedł tam ze swoimi prywatnymi zamiarami. Kiedy weszliśmy do przestronnego, wynajętego mieszkania, uderzył w nas przede wszystkim dziwny, ciężki dym. A także kilka lubieżnych spojrzeń. Okna były pozamykane na głucho; podobno ktoś zgubił klucz i jedyną możliwością wietrzenia było otwieranie oraz zamykanie drzwi wejściowych. Niespecjalnie to w czymkolwiek pomagało atmosferze dwupoziomowego mieszkania.

Po półgodzinnym przebywaniu w kompletnie zadymionej atmosferze byliśmy całkowicie uwędzone. Na jednej z luksusowych kanap siedział diler i na pełnym luzie sprzedawał lżejszy i cięższy towar do palenia. Chcąc nie chcąc, my również wdychałyśmy owe podejrżane aromaty.



Moglibyście nam zazdrościć, bo to podobno wspaniale ubzdryngolić się za darmo, jednak żadna z nas wcale nie miała na to ochoty.

Z głową gdzieś na poziomie sufitu zaczęłam płasnąć nieco obok muzyki. Stwierdziłam, że przecież przyszłam potańczyć, więc będę tańczyć, a reszta mnie nie interesuje. Kasia plątała się między mną a swoimi znajomymi. Nie miałam do niej żalu, widziałam, jak narkotykowy dym z chwili na chwilę psuje jej nastrój. Kątem oka dostrzegłam dziwny ruch wokół siebie, jakbym była odcinana od reszty świata. Zanim zdążyłam się przerazić, zostałam zagadana przez kompletnie obcą mi dziewczynę. Zakręciła mną w kółko i wrzuciła w ramiona niskiego, kwadratowego faceta z włosami czarnymi jak węgiel i błyszczącymi jak... jak rozbłyśki słońca na jeziorze. Nie chcę być ordynarna, nie napiszę przecież: „jak psu jaja”.

Możecie sobie wyobrazić, jaka byłam nim „oczarowana”.

– Och, cześć – rzucił ze sztucznym zaskoczeniem ów książę z bajki, poprawiając sobie fryzurę gestem od czoła do potylicy. Gest ten odwrócił moją uwagę od wcześniejszego przestרחu. Z jakąś chorą fascynacją utkwiałam wzrok w jego dłoni, która musiała spływać brylantyną.

– Jak masz na imię, piękna?

Po raz drugi wykonał swój gest, a ja odpowiedziałam mu bezwiednie, choć gdzieś w głębinach mojego otumanionego umysłu ktoś zaczynał pękać ze śmiechu.

– Czy mieszkasz tu, studiujesz? A może pracujesz? Masz w planach zostać tu na dłużej? – wypytywał mnie.

Coś mamrotałam w odpowiedzi, zapatrzona w tę dziwną słowną masturbację, aż wreszcie jeden ze znajomych Kasi bez pardonu odciągnął mnie od natręta.

– Na cholerę z nim w ogóle rozmawiasz! – zaczął z irytacją (mógł tak powiedzieć, trochę się już znaliśmy), ale wytrąciłam mu broń z ręki.

– Widziałeś jego gest? – wyrzuciłam z siebie z pasją. Zaskoczyłam go trochę.

– To klepanie się po włosach? – spytał.

– Podałbyś mu rękę? – chichotałam w kułak, tańcząc wciąż lekko obok muzyki.

Znajomy rzucił mi uśmiech pełen politowania i zrezygnował z dalszej konwersacji. Rozmowa ze mną w tamtej chwili musiała być dość skomplikowanym przedsięwzięciem. Kwadratowy książę o włosach jak węgiel skąpany w promieniach księżycy spojrział na mnie z bolesnym wyrzutem, po czym rozpoczął agresywny miłosny atak na pyzatą dziewczynę popijającą drinka na jednej z ekskluzywnych, beżowych kanap. Wyglądała na zachwyconą. Brunet tarzał się zatem w głębinach swojego ego, znajomy zamknął oczy zatopiony w muzyce, a ja płaszałam rozmarzona, patrząc na ludzkie cienie tak ładnie i ciekawie odcinające się od bieli ścian.

Po chwili spowaźniałam. Jeden z cieni przypominał kruka.

– Dlaczego te piosenki są takie wolne? – Kasia odnalazła mnie wreszcie, oparła się ufnie o moje biodro. – Nie rozumiem tego. Tutaj mają spowolnione tempo, słyszysz? – Zamilkła wsłuchana w dziwnie ospałe dźwięki. Po chwili podjęła: – Strasznie to wolne. Ale jak podejść do głośników, to nagle wszystko przyspiesza! – wykrzyknęła. Schizowała, aż miło. Podchodziła raz do mnie, raz do głośników, kręcąc głową bez zrozumienia i z lekkim przestרחem, dając wyraz swojemu wzburzeniu machaniem rękami.

Śmiesz was to? Nas nie śmieszyło. Żadna z nas nie miała ochoty być na haju przez wdychanie czyichś podejrzanych używek.

Kasia odplynęła znów w stronę głośników.

– Hej – przywitał się ze mną facet, który od jakiegoś czasu zaglądał mi w dekolt z drugiego końca pokoju. – Mam tutaj dziewczynę – dorzucił jakby bez sensu, wskazując ją

palcem, a ja tylko kiwnęłam głową zapatrzona z przerażeniem w cień kruka. Wcale nie chciał zniknąć z tej cholernej ściany. – Wchodzisz w trójkąty? – Pytanie wyrwało mnie z letargu. Przeniosłam zdumiony wzrok na tego człowieka. Jego dziewczyna stała nieopodal i posyłała mi serdeczne uśmiechy.

– Chcę do domu – powiedziała moja przyjaciółka głosem absolutnie nieszczęśliwym, przytulając się do mnie.

Wzięłyśmy płaszcze i wyszłyśmy z mieszkania o zamkniętych oknach.

Nigdy więcej nie poszłam już na żadną amsterdamską imprezę.



## 17.

Są takie chwile, kiedy naprawdę nie można już wytrzymać.

– Muszę wyjechać – rzuciłam w Tima niefrasobliwym tonem. – Do Q., na dwa, trzy tygodnie. To taka niewielka wieś – dodałam, obserwując go spod oka.

Wiedział, że stan psychiczny, w jakim się znajduję, jest, delikatnie ujmując, niezbyt dobry. Moje rozmigotanie sięgało chyba zenitu. Czułam, że jeszcze chwila, a się uduszę. Tak jakbym sama sobie wpychała poduszki do gardła ruchem gdzieś od strony jelit. Tim wyznał kiedyś, że chciałby mi pomóc, ale coraz częściej zniknął i milczał. Żał mi go było. Szczerze życzyłam mu, żeby sam ze mnie zrezygnował i miał wreszcie spokój. Chyba do tego dojrzał.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – powiedział tylko swoim uprzejmym, spokojnym głosem. Nie wiem, na co liczyłam, ale poczułam się jakoś zawiedziona. Popukałam się po głowie w swojej wyobraźni.

– Nie wiem, czy to pomoże, ale nic innego mi już nie pozostało – zakończyłam rozmowę z szerokim, radosnym uśmiechem.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że on nie rozumie. Jego reakcje bez wyrazu zawsze działają na mnie jak policzek. Są ludzie pełni ognia, ja do nich należę. Odwałam szopki, ale to dlatego, żeby nie płakać przy nikim. W życiu bym tego nie zniosła. Moim ogniem można rozwalić ściany, wystartować samolotem, wyskoczyć w kosmos. W starciu ze spokojem i pustką Tima sama mam często ochotę wyskoczyć w kosmos.

Minęły trzy miesiące w Holandii; zapadam się coraz bardziej. Tracę poczucie humoru,

niech to diabli. Niemal codziennie słyszę stukanie potężnego kruczego dzioba w moje okno. Nie wiem już, jak mam z nim walczyć. Kasia, taka wspaniała, nie może mi pomóc, choć wiem, jak bardzo by tego chciała. Robi mi ciepłe tosty, kiedy zapominam o śniadaniu, a na wieczór przynosi miskę z lodami. Opowiadam jej o swoich kołtunach, ona opowiada o swoich. Tim pojawia się gdzieś od czasu do czasu, kiedy najdzie go ochota; jako urozmaicenie. Coraz bardziej mam ochotę uciec. Nie ma znaczenia, gdzie jestem, wszędzie tak samo chciałabym zwać od siebie samej.



– OK, to kiedy się widzimy? – spytał Tim rzeczowo, patrząc na mnie zagadkowo.  
– Za miesiąc? – odpowiedziałam niepewnie, na co uśmiechnął się, rzucił lekko „aha” i odjechał.

Patrzyłam za nim i czułam, że prawdopodobnie widziałam się z nim po raz ostatni.

\*

Tydzień przed wyjazdem do Q. zahaczyłam o swoje rodzinne miasto. Miałam w planach kilka spotkań. Tim nie pożegnał się ze mną. Wynikła z tego dyskusja, oboje byliśmy dla siebie chłodni, a następnie zapadło milczenie. Miałam wrażenie, iż wraz z jego początkową fascynacją uleciała właściwie cała nasza historia. I faktycznie, nim się obejrzałam, zerwał ze mną. Dostałam ładnie i schludnie napisaną wiadomość. Niczego nie można jej było zarzucić. Kasi bardzo przypadła do gustu, pewnie dlatego, że od początku była przeciwna naszym wygłupom.

Przeczytałam wiadomość dwukrotnie. Uszami wyobraźni słyszałam jego spokojny, rzeczowy głos, który mówi o tym i owym, a tak naprawdę chce mi przekazać, że nie zdzierzył moich kowadeł.

Wcale mu się nie dziwiłam, na jego miejscu dawno dałabym dyla. Więcej: sama go do tego popychałam. Zgrywałam Greka, płąsałam w czapce błazna schowana za murem, nie wpuszczając go nigdy do mojego serca, gdyż sama bałam się tam wchodzić.

Była północ, kiedy przeczytałam jego schludną wiadomość, która przywiodła mi na myśl wycieranie kurzu śnieżnobiałą szmatką. Wyłączyłam komputer, usiadłam na podłodze, patrząc tępych wzrokiem na deski pomazane czarnym tuszem. Zaczęłam powoli zeskrobywać czerń z drewna, przy każdym ruchu kapałam na podłogę jedną łzą. Kap, kap, kap, kap, kap, kropelki płynęły swobodnie, jakby miały nigdy nie przestać. Krakało mi nad głową, potwór zeżarł moją

czapkę z dzwoneczkami. Ręce zaczęły mi drżeć. W takich chwilach zawsze wychodzę z domu, nogi mnie niosą kilometrami. Jak najdalej, najlepiej za horyzont.

Tym razem tkwiłam w miejscu, wciąż zdrapując z desek czarny tusz i rozmazując go jednocześnie łzami. Ta wiadomość od osoby bez ognia dobiła mnie do reszty. Mur, przez rok okalający milczeniem moje serce, pękł i niewypowiedziane cudowności rozlały się po moim wnętrzu.

Nie mogłam zasnąć do czwartej nad ranem przygnieciona dodatkowymi atrakcjami do tej pory schowanymi za murem. Wreszcie otumańczyłam głowę potrójną melisą i zasnęłam. Ocknęłam się rano, rozpoczęłam dzień od przerwane nocnego płaczu. Kręciłam się po mieszkaniu bez ładu i składu; wreszcie znów wylądowałam na podłodze, zeszkrobując paznokciem resztki tuszu. Po godzinie wstałam, poszłam do kuchni, wyjęłam nóż. Wpatrywałam się w niego jak sroka w gnat. Miał ostre ząbki; był rzadko używany, doskonale naostrzony. Dotknęłam nim takiej papierowo delikatnej skóry lewego nadgarstka, przycisnęłam lekko. Dziwiło mnie, jak cienka i gładka jest skóra w tym miejscu.

Nagle przypomniałam sobie moją rozmowę z Kasią. Opowiadałam jej wtedy o krukach, o moich długodystansowych spacerach. O tym, dlaczego nie zostaję nigdy w domu.

Wysłuchiwała mnie ze zmartwieniem. Poprosiła, żebym zadzwoniła do niej w chwili, kiedy nie wyjdę z mieszkania, w chwili takiej jak ta.

Postałam bez ruchu z tym nożem opartym o mój nadgarstek, z twarzą zupełnie bez wyrazu. Wrzuciłam go do szuflady. Na ręce nie miałam nawet śladu ostrza. Wróciłam do pokoju i wzięłam telefon do ręki.

## 18.

Zrobiło się poważnie. Prawda? Mnie też to dziwi. Myślałam, że się jeszcze powyglupiam, a tu takim kowadłem w czytelników. Nie martwcie się jednak, na tej scenie skończyły się dramaty jak z pamiętników Sylvii Plath, bo następnego dnia rzuciłam wszystko w cholerę i wyjechałam do Q. Wcześniej, niż zamierzałam. Wiedziałam, że stawiam wszystko na jedną kartę – i to było najstraszniejsze. Wyobraźcie sobie – stoicie na krawędzi i macie tylko jedną jedyną szansę, żeby się uratować.

Jestem tu od tygodnia, sama, zakopana w dziewiczych lasach i łąkach. Już w dniu przyjazdu poczułam się lepiej, co dało mi jakąś nadzieję, że ucieczka do tego miejsca była wreszcie trafionym pomysłem. Chodzę po czterdzieści, czasem pięćdziesiąt kilometrów dziennie, powoli rozczesuję swoje kołtuny. Patrzę, co takiego chowało się przez rok za milczącą ścianą (ach, ileż ja metafor natworzyłam przez te wszystkie rozdziały! Sama się w tym gubię).

Jesteście ciekawi, co znalazłam podczas moich leśnych wędrówek? Całą masę drobnych rzeczy, które drastycznie zmieniają mój światopogląd. Mam rozdwojenie jaźni – jednocześnie gapię się na siebie i swoje myśli oraz oglądam otaczający mnie świat. I zawsze znajdę jakąś inspirację.

Na przykład taki robał. Paskudny, biały robał, z gatunku tych robali, które czasami śnią się wyłazące z gnijących ciał na mrocznym cmentarzu. Ohydny, czyż nie? Otóż przez przypadek splotły się nasze losy, mój los i los takiego robaka. Usiadłam sobie pod sosną nieco zmęczona czterogodzinnym marszem bez ładu i składu. Takie spacerki lubię najbardziej. Usiadłam na wcześniej wypatrzonym słonecznym placyku, tuż pod przyjemnie szumiącą sosną. Wyjęłam kanapkę, jadłam ją w milczeniu zapatrzona w jakiś nieokreślony punkt. Myślałam o swoim zębie, którego nikt nie może mi wyleczyć od sześciu miesięcy. Podobno jest po prostu nadwrażliwy.

A jak coś jest nadwrażliwe, to nic z tym zrobić nie można.

Nadwrażliwy skurczybyk wyłączył z pracy połowę mojej szczęki; boli jak głupi.

Zatopiona w tych oto konstruktywnych rozważaniach o przewrażliwieniach, rzuciłam okiem pod nogi... i zobaczyłam go. Robała.

Pierwszą moją myślą było: „Yyyh!”, taki był odstręczający. Sami zobaczcie.



Ponieważ jednak nie mam odruchów deptania wszystkiego, co mi się osobiście nie podoba, postanowiłam go poobserwować.

Nie robił nic nadzwyczajnego. Nic, tylko wił się bez sensu we wszystkie strony, jakby dostał nieprawdopodobnych bólów brzucha. Kręcił się, wiercił, przewalał, a ja patrzyłam na niego beznamiętnie, jedząc swoją kanapkę połową szczęki. Kiedy ten fascynujący widok mnie znudził, odwróciłam głowę, a moją uwagę przykuły słoneczne placki, które tak miękko układały się na leśnym poszyciu.

Minęło dziesięć minut romantycznego zadumania i znów, dla odmiany, zerknęłam na znerwicowanego robała. Jakież było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam, że nie przemieścił się nawet o milimetr.

Takie wydarzenia mogą przyprawić o zawał serca, kiedy spędza się czas na spacerach po pustym lesie.

Poczułam jakąś wewnętrzną potrzebę, żeby pomóc temu robałowi. Czasami, kiedy widzę ślimaka zdecydowanego przeczołgać się na drugą stronę ulicy, biorę go za skorupkę i przenoszę. Żeby go nic nie rozjechało. Szkoda ślimaka. Ale taki robał, co się wije i kręci; co by coś chciał, ale sam nie wie co... Jak mu pomóc?

Nie da się.

Patrzyłam na niego i poczułam, że mi go okropnie żal. Biedny robał, który tyle energii zużywa na wiercenie się we wszystkich kierunkach naraz; sam siebie skazuje na porażkę.

Pewnie wiecie, do czego zmierzam.

Nade wszystko nie lubię moralizowania. Ale ten robał jakoś zapadł mi w pamięć. Utkwił tam na dobre.

Nie chcę być taka jak on.

Jakie jeszcze inspiracje? Królik. Malutki, niewinny, bezwolny króliczek. Pewna mała dziewczynka nosiła go po całym ośrodku, w którym wynajmuję pokój. Ścisnęła go z nieskończonym uczuciem. Tak potężnym, że biednemu stworzeniu oczy wychodziły z orbit. Do tej udręki dołączył pies, który z kolei z króliczkiem chciał się pobawić. To musiał być najgorszy dzień w życiu tego małego króliczka. Zwiślał w ramionach małej dziewczynki, pozwalał jej

podnosić się za uszy i rzucać w trawę. Zamiast zwiewać w tych chwilach wolności, siedział w miejscu. Zamiast podrapać dręczycieli, przymykał tylko oczy.

Żał mi go było strasznie. Próbowałam zabrać tego biednego króliczka energicznej dziewczynce, ale uciekała przede mną ze śmiechem. Sytuację uratował ojciec miłośniczki królików, który huknął na nią i odebrał z jej żelaznego uścisku biedne zwierzę.

Tak, królikiem też być nie chcę.

Co do mojego potwora – zadziałałam na niego potęgą wyobraźni. Postanowiłam po prostu spojrzeć na niego z innej perspektywy. Teraz to ja mogłabym go złapać i pożreć, taka jestem wysoka. Ale kiedy do mnie przylatuje, nie robię mu krzywdy. Wręcz odwrotnie. Przysiada, zadowolony przymyka oczy, kiedy drapię go koło dzioba. Rzucam mu kilka okruszków z tych cudowności, które miałam jeszcze niedawno za swoim murem; chwytą w locie, zjada ze smakiem. Potem kracze, rozpościera skrzydła i odlatuje gdzieś tam w świat, przetrawiając te moje okruchy.

\*

Nie myślcie sobie, że moje życie uległo drastycznej zmianie. Odzyskałam natychmiastowy, granitowy spokój, wyszłam za mąż i mam trójkę wesołych dzieci. Nic z tych rzeczy. Nadal jestem w Q., szwendam się po lasach, patrząc na robale, wdychając powietrze pachnące sosnami, strzepując mrówki ze spodni. Nie zostanę tu na zawsze. Mój ogień wyciągnie mnie w świat; w mniej lub bardziej poukładaną przyszłość. Do Holandii, do Francji, do Turcji, kto mnie tam wie.

Dokładnie za tydzień. Może znowu ktoś się zaplącze w moich włosach, może wybuduję nowy mur wokół swojego serca, a oswojonemu krukowi odwali palma i znów zeżre moje dzwoneczki.

Może tak. A może nie.

Zobaczmy :)

JAK **NIE** WALCZYĆ  
Z POTWOREM



JAK **NIE** WALCZYĆ  
Z POTWOREM





JAK **NIE** WALCZYĆ  
Z POTWOREM

